



Wydawca i redaktor: Stanisław Błotnicki.

POWIEŚĆ.

PIEKIEŁKO

POWIEŚĆ

na tle stosunków współczesnych

napisał

MICHAŁ WOŁOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Ale Bąbalewicz tej odpowiedzi nie słuchał, tylko perorował dalej, giestykulował dalej i dalej robił opozycję — no! taką opozycję, że niczem wszystkie bomby i dynamity, o których naturalnie szeroko bardzo rozprawił, co do ostatniej rozpaczy doprowadzało pana Agenora Straszynskiego, który, chcąc na inne zupełnie tory wprowadzić dyskusję i materję pogawędki, ciągle się kręcił koło Bąbalewicza, za poję od fraka go ciągnął i szeptał:

— Panie Bąbalewicz, radco kochany, — Bąbalewicz był bowiem radcą dozoru kościelnego, — za-interpeluj też kandydata w przedmiocie słomek i bekasów.

— Co słomki? co bekasy? — ciągnął dalej Bąbalewicz, ze słomek i bekasów zrobić także kwestję gabinetową, ze wszystkiego robić kwestję gabinetową, żeby raz w łeb wzięło takie ministerjum, co nie robi, a wszystko obiecuje, przecz z niem do kroćset.

Na ten wykrzyk naturalnie pan Agenor, zawsze do największej lojalności radcę przyzywający, jakby oblany ukropem od Bąbalewicza odstąpił, który dalej prowadził rzecz swoją we właściwym i odpowiednim dla siebie tonie.

— takiej wrzawy i paplaniny, którą od czasu do czasu przerywali i inni wyborcy, posiadający prawo głosu, a licznie bardzo zgromadzeni na balu, naturalnie nikt nigdy nie byłby w stanie się dowiedzieć o tem, co właściwie kandydat który myśli; i cały bal programowy odbyłby się bez programu, a oto nie chodziło Trzase, o taki rezultat nie potrzebował się starać, on chciał, aby jego Karol po raz pierwszy tutaj występujący wszystkim zawrócił głowę, zdobył głosy i przygotował sobie drogę, chciał porządku w tem zgromadzeniu i on jeden tylko ten porządek mógł sprowadzić. Jego jedno słówko rzucone we właściwym czasie zawsze mięszało Bąbalewiczowi największe polityczne projekty, rozjaśniało lub rozchmurzało twarz p. Agenora a i reszcie wyborców było wskazówką, gdzie najlepiej swoje zapasy zwrócić mają. Przez jedną chwilkę trzeba było tylko opanować ten wrzask, a Trzaska i to potrafił.

Stanął on tuż przy panu Józefie i najgłośniej jak tylko mógł — a miał głos dosyć potężny — zawołał:

— Panie Bąbalewicz, ważne nowiny!

— Cóż tam! nie ma ważnych nowin, gdy chodzi o sprawy obywatelskie.

— Ale mylisz się pan, to jest sprawa najbardziej obywatelska, idzie tutaj bowiem, że jeden

z nas wkrótce ma zyskać zaszczytne wyróżnienie, ze strony szlacheznego rządu.

Bąbalewicz zamilkł, uszy wyborców podniosły się do góry. A Trzaska tymczasem w tem miejscu nagle zamilkł, co jeszcze bardziej zaostriżyło ciekawość ogółu. Po małej pauzie zaczął wołać:

— Słuchamy, słuchamy, panie Trzaska, racz mówić!

Trzaska spojrzął po otoczeniu, znów sarkastyczny uśmiech wykrzywił mu twarz na chwilę, ale go spędzić zdołał stamtąd szybko i poważnie ciągnął dalej:

— Tak panowie, zasługa prawdziwa, pojęcie obywatelskich obowiązków prędzej czy później uznanie zdobyć musi. Jest to prawda niezbita. Jeden z was czcigodni obywatele ma być zaszczycony w niedługim czasie orderem. Właśnie przyszło zapytanie poufne w tej materji do rady powiatowej.

Pan Agenor Straszyński i Bąbalewicz spojrzeli na siebie zezem. Trzaska ciągnął dalej.

— Czyż potrzebuję wymieniać wam z imienia i nazwiska tego szlacheznego męża, kiedy go wszyscy znamy, podziwiamy jego wymowę, jego prawość i zacność a co najwięcej — jego niewzruszone zasady.

Ciekawość tłumu jeszcze więcej wzrosła, ale nikt się nie mógł domyśleć o kim Trzaska mówi, a każdy już zazdrościł tego orderu temu, który go miał otrzymać.

Trzaska czas jakiś zostawił jeszcze w zawieszaniu ciekawość tłumów, wreszcie po chwilowej pauzie przybliżył się do Bąbalewicza i podając mu obie dłonie zawołał:

— Panie Bąbalewicz, zacny obywatelu, pozwól sobie powinszować. Bąbalewicz formalnie zgłupiał. Żartu nie przypuszczał, wydałby mu się on za grubym ze strony Trzaski, który w tem przemówieniu miał cel podwójny: obudzić we współobywatelach Bąbalewicza zazdrość, przytem pokazać go w świetle orderu mniej żelaznym w przekonaniach, taki manewr był arcydziełem wyborczem i udał się zupełnie.

— Co? już! — bełkotał Bąbalewicz, gdy inni, a szczególnie pan Agenor spoglądali na niego z zazdrością. Trzaska zaś ciągnął dalej.

— Tak, tak, na piersiach pańskich sprawiedliwość zawiesi krzyż zasługi, jesteś tego godzien.

Bąbalewicz ochłonął i wpatrując się w twarz Trzaski widocznie już nabrał przekonania, że wieść jaką mu on przyniósł jest prawdziwą, bo z tryumfem spoglądając na współobywateli i pana Agenora zawołał:

— Oto macie skutki opozycji, tylko tą drogą dochodzi się do uznania.

Zapomniał jednak dodać, czy pomimo orderu dalej trwać będzie w swojej opozycji i czy da sobie wyrwać na tem polu palmę pierwszeństwa, wiedział to Trzaska, że cios jego trafił doskonale a cios ten zrozumiał tylko Marcinkiewicz, który po raz pierwszy z pewnego rodzaju szacunkiem spojrzął w twarz ubogiego sekretarza rady powiatowej.

Trzaska nie na tem jednak ograniczył tylko swoje wmięszanie się do ogólnej rozmowy w sali bufetowej i do pomięszania szyków samemu tylko Bąbalewiczowi. Tem jednym powinszowaniem, tą wzmianką o orderze, podkopał całe zaufanie, jakie szlachezny i niezmordowany mówca przez długi czas spełniając swoje językowe obowiązki, potrafił zasłużyć u współobywateli. Szło teraz o zepchnięcie ze stanowiska drugiej osobistości, a mianowicie p. Agenora Straszyńskiego, który mimo swojej mizerji stanowił jednakże bardzo wybitne i ważne stanowisko w otoczeniu całym.

Był on faktycznie regulatorem wszelkich zapawów i szacunkiem wielkim się cieszył, pod pewnymi względami uważano go za męczennika narodowego, chociaż całe jego męczennictwo ograniczało się do dwudziestogodzinnego aresztu, który odsiedział podejrzany przez fiskusa o jakąś nieznaną defraudacyjkę.

Od tego czasu jednak p. Agenor Straszyński zmienił się w tak lojalnego obywatela, iż żadna siła ludzka nie była w stanie go zmusić do wypowiedzenia swojego osobistego zdania, które manifestował jedynie charakterystycznym mruganiem oczu lub skrzywieniem twarzy.

Zmusić do milczenia takiego człowieka było niesłychanie łatwą rzeczą, łatwiejszą stokroć aniżeli rozjuszonego pana Bąbalewicza, to też Trzaska nie wiele sobie robił zachodu, ujął pod rękę czcigodnego pana Agenora i podprowadzając go na bok, szepnął z pewną tajemniczą miną:

— Panie, czy wiesz, że stoimy na wulkanie? Skóra aż scierpła na ciele p. Agenora, oczy mu na wierzch wylazły, a choć był to jego ulubiony frazes, jednak gwałtownie ścisnął za rękę Trzaskę i zawołał:

— Panie, zlituj się, co się dzieje?

— To pan nie nie wiesz? — z głębokim przekonaniem zawołał Trzaska.

— To jest właściwie, faktycznie i rzeczywiście ja widzę, ja bardzo wiele widzę, spostrzegam niebezpieczeństwo ze stron wszystkich, bo gdzież panie w dzisiejszych czasach niebezpieczeństwa nie ma, ale żeby tak niby jasno, wyraźnie...

— A widzisz pan, a to co się dzieje, wygląda zupełnie tak, jakbyś pan trzymał swą stopę w petardzie dynamitowej.

Pan Agenor aż się cofnął o parę kroków a z jego twarzy widać było, że pomimo tej rejterady nie był jeszcze pewnym, ażali na petardzie nie stoi.

— No, no — zawołał z lekceważeniem komicznem Trzaska, — nie przestraszaj się pan tak, ja mówię pod przenośnią, mówię o sytuacji politycznej.

Pan Agenor ochłonął i dzięki temu znów się do Trzaski przybliżył i uszów nadstawił, aby usłyszeć bliżej określenie tej petardy dynamitowej.

— Widzisz pan, petarda zabija, po wybuchu następuje śmierć a czemże jest śmierć jak nie wierutnem głupstwem, o które człowiek takich zasad jak pan przecież nie dba, ale przemęczyć się całe życie w Kufsteinie panie kochany, to rzecz inna.

Pan Agenor nie podzielał widocznie określenia i zapatrywania się ze strony Trzaski na znaczenie śmierci, bo po wyrazach odnoszących się do łatwego przeniesienia się w stan wiecznego spoczynku, twarz mu się wykrzywiła a oczy charakterystycznie mrugać poczęły, ale na drugą część uwagi Trzaski, skulił się prawie jak wąż i za żołądek chwycił wołając:

— Co pan mówisz? zlituj się obywatelu, mów wyraźnie.

— Mam pewne wiadomości z Wiednia, że rząd nie życzy sobie żadnych rozpraw w sejmie, a chce tylko uchwalenia ustawy przeciwko tępieniu słomek i bekasów — w kraju, zlituj się pan więc, pilnuj, aby kandydat nie był takim szowinistą jak Ślepowroński, takim radykałem jak Szydłowiecki a wierz mi, najlepiej uczynisz, jak się w tym roku usuniesz zupełnie od wyborów, bo zawsze słusznie powiadasz »ostrożność przedewszystkiem, bo nie wiemy dnia ani godziny«, proszę cię jesteś zawsze wyborcą, a więc grzechy twego mandatariusza spadają i na ciebie. Jeśli się usuniesz zaś od agitacji i wyborów, to w razie katastrofy będziesz miał najlepsze tłumaczenie, żeś się do niczego nie mieszał. Oto wszystko, co ci miałem do powiedzenia kochany panie Agenorze. Podyktowała mi jedynie dla ciebie najwyższa życzliwość, uczyni zresztą co chcesz i co uważasz za stosowne, ja spłaciłem obowiązek przyjazni.

Ostatni frazes Trzaska wypowiadał tylko dla formy, albowiem wiedział już że po tem ostrzeżeniu żadna siła pana Agenora nie skłoni do zajęcia się agitacją.

Stał też przez długi czas pan Agenor po tej rozmowie z Trzaską na sali, jak gdyby skamie-

niały, trzymając się za żołądek i mrugając oczami a usta jego powtarzały tylko bezustannie »słomki — bekasy«, »bekasy, słomki«.

Trzaska tymczasem dopełniwszy takich dwóch zamachów spokojnie i zimno zwrócił się do najniebezpieczniejszego swego przeciwnika Marcinkiewicza, którego zjawienie się w sali dysput przyjętem było gromkim okrzykiem.

— A więc słuchamy owych nowin, redaktor nasz powie nowiny ze Lwowa, uciszcie się panowie.

W tej chwili Trzaska już stał przy Marcinkiewiczu.

— Nowiny, nowiny — wołano ze stron wszystkich.

— Jestem tutaj panie redaktorze, czy i ja mam panom wyborcom zakomunikować swoje nowiny — szepnął tuż pod bokiem Marcinkiewiczowi Trzaska.

Pan redaktor się obejrzał, zgrzytnął zębami i w odpowiedzi na domagania się nowin ze strony współobywateli zawołał:

— Świeżo otrzymane instrukcje nakazują mi zachować w tajemnicy owe nowiny, po jakie umyślnie dla dobra publicznego jeździłem do Lwowa. Obywatele! pamiętajcie o tem, że ja czuwam, gdyby więc zaszła potrzeba, niezawodnie nie omieszkać zakomunikować wam to, co zakomunikować należy.

Na twarzach wyborców zarysowało się niezadowolone, które też pewien szmer cichy zamani-festował; przeciwnie na twarzy Trzaski widać było uśmiech wesoly.

Marcinkiewicz już nie miał nic do roboty w tem kółku ludzi, zmęczony był sam i zdenerwowany, szum jakiś panował w jego uszach. Odwrócił się więc i chciał wyjść na salę, gdy tymczasem Trzaska doń szepnął:

— No, no, przysługa za przysługę, musiałeś pan zamknąć tam usta, ja panu swoje otworzę... Pani Szydłowiecka... fiut.

Tu Trzaska przykładając dłoń do ust w charakterystyczny sposób gwizdnął cicho.

— Jakto? — zawołał porażony prawie Marcinkiewicz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRÓL SYJONU

TRAGEDJA W PIĘCIU AKTACH

ALFREDA NOSSIGA.

Odnaczona na konkursie dramatycznym im. Wojciecha Bogusławskiego w Warszawie 1886 r.

OSOBY:

BAR-KOCHBA, król Judei.
 JULIUS SEVERUS, wódz rzymski.
 TINIUS RUFUS, namiestnik rzymski.
 ELEAZAR, prorok.
 AKIBA
 IZMAEL } nauczyciele zakonu.
 MEIR
 ABIMELECH, garbus.
 SAMARYTANIN.
 BERURIA, żona Meira.
 DINA, córka Akiby.
 DEJANIRA, hetera grecka.
 PUŁKOWNICY JUDEJSCY.
 CENTURJONI RZYMSCY.
 LEWICI.
 LUD, ŻOŁNIERZE RZYMSCY i JUDEJSCY, SŁUŻĄCY.

Rzecz dzieje się w Betarze w Palestynie około r. 135 po Chr.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

(Na pośrodku sceny mury Betaru. Po prawej ręce miasto Betar, po lewej okopy i pole. Na murach kilku ŻOŁNIERZY JUDEJSKICH, na polu przed murami ŻOŁNIERZE RZYMSCY.)

Pora wieczorna.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ RZYMSKI.

Hejże rzezańce! Czegoż się na murach wylęgacie? Czyż nie wiecie, że jutro zrana na nowo wołka się rozpocznie?

PIERWSZY ŻOŁNIERZ JUDEJSKI.

Daj Boże, aby słońce weszło jak najwcześniej!

DRUGI ŻOŁNIERZ RZYMSKI.

Słuchajcie, nędzni rzezańce —

DRUGI ŻOŁNIERZ JUDEJSKI.

Jutro i wy będziecie rzezańcami, bo skosimy wam głowy!

DRUGI ŻOŁNIERZ RZYMSKI.

Ha, ha, ha! Ażeby was udobruchać, przynieśliśmy wam podarunek. (Podnosi z ziemi zdechłą prosię; ŻOŁNIERZE RZYMSCY śmieją się głośno).

PIERWSZY ŻOŁNIERZ RZYMSKI.

Kiedyśmy zajęli obronny wasz Tur-Simon, zarzuciliśmy stotysięcy takich jak wy bohaterów. Mnożycie się jak króliki i macie odwagę królików. Nawet to prawowierne prosię stało się tchórzliwym pomiędzy wami. W Tur-Simonie skryło się na ołtarzu waszym. Przynieśliśmy je wam na pamiątkę! Nuże, smacznego!

(ŻOŁNIERZE RZYMSCY przerzucają prosię przez mury do wnętrza Betaru).

PIERWSZY ŻOŁNIERZ JUDEJSKI.

Otóż macie o jednego wodza mniej!

PIERWSZY ŻOŁNIERZ RZYMSKI.

Wołę już takiego wodza, aniżeli rozpustnika, który wam króluje.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ JUDEJSKI.

Którego trwożycie się bardziej, aniżeli własnego cesarza!

PIERWSZY ŻOŁNIERZ RZYMSKI.

Który sam jeden ma więcej nieprawych małżonek, aniżeli całe wojsko rzymskie!

PIERWSZY ŻOŁNIERZ JUDEJSKI.

Który sam jeden ma więcej odwagi i siły, aniżeli całe wojsko rzymskie!

DRUGI ŻOŁNIERZ JUDEJSKI.

A dobrzeż wam pod waszym Rufusem, tym rzeźnikiem, który skazał na śmierć więcej żołnierzy rzymskich, aniżeli ubił naszych!

TRZECI ŻOŁNIERZ JUDEJSKI.

Albo pod Severem, który was biczuje jak podłych niewolników!

DRUGI ŻOŁNIERZ RZYMSKI.

A jużciż, że dobrze, kiedy zwyciężają raz po raz, kiedy co parę tygodni mamy plondrunek.

TRZECI ŻOŁNIERZ RZYMSKI.

A nie smakował nam Kabul? A Sichin? A Magdala? Niech was piorun trzaśnie, ładne macie dziewczki!

PIERWSZY ŻOŁNIERZ RZYMSKI.

Zapchaliście się do tej myszej dziury, która jest ostatnim waszym schowkiem. I stąd was wykurzymy, a wówczas pies szczeknął i zdechł!

(Odgłos trąb z Betaru).

PIERWSZY ŻOŁNIERZ JUDEJSKI.

Potraciecie zęby na murach naszych! Dopóki król nasz żyje, nie zwyciężycie, a Bar-Kochba jest nieśmiertelny!

DRUGI ŻOŁNIERZ JUDEJSKI.

Każdy z nas zabije dziesięciu z was niewolników orężem, a drugich dziesięciu pięścią! Zębami was szarpać będziemy, zanim kraj i wolność damy za wygrane!

(Powtórny odgłos trąb).

TRZECI ŻOŁNIERZ JUDEJSKI.

Precz stąd, poganiacze świń!

PIERWSZY ŻOŁNIERZ RZYMSKI.

Ej, wróćmy, wróćmy wkrótce! Potrząśniemy Betarem jak jabłonią, jabłka zjemy, a drzewo spalimy! (RZYMIANIE odchodzą).

SCENA II.

Trzeci odgłos trąb. W obrębie murów, załoga Betaru zbiera się, pułkownicy szykują ją; w około LUD z Betaru. Zapada noc.

PUŁKOWNIK.

Zapalić pochodnie! Niebawem król się zjawi. Okrzyków zabronił.

(Co dziesiąty z żołnierzy rozpala pochodnię swą u ognia roznoszonego przez jednego z żołnierzy. Odzywa się przeciągły odgłos trąb. Zjawiają się BAR-KOCHBA, za nim AKIBA i ELEAZAR.)

KILKU ŻOŁNIERZY *(uginając kolana przed BAR-KOCHBA i całując rąbek płaszcza jego, stłumionym głosem)*

Wodzu nasz! Ubóstwiany Panie!

BAR-KOCHBA.

Powstańcie, towarzysze! Powiedzianem było: w milczeniu! — Jutro z rana walka. — Z czterech stron wypadniemy: wdrzeć mi się piorunem w same serece obozu! Potem cofnąć się, walcząc bezustannie. Pułkownicy dadzą bliższe zlecenia. — *(Przechodzi przed frontem.)* Żołnierze! W waszej pięści wolność — i hańba, jak dwie kostki: rzucajcie silnie, bez namysłu, los wam poszczęści. — Dla was, bracia, nie trzeba pięknych słówek, co jak wino sztucznie podbudzają krew zgniłą. Lud Makabeuszów — to lwia krew! *(Zbliża się do jednego z żołnierzy.)* Hej towarzyszn! Czemu targasz siwą brodę? Czemu ściszasz pięści? Znam cię! Miałeś dwunastu dzielnych synów; pierwszy z nich, Ruben, stawał w szeregu po lewej stronie twej — okazały młodzian! Gdzież on?

ŻOŁNIERZ.

Zginął.

BAR-KOCHBA.

A wtóry, Juda?

ŻOŁNIERZ.

Zginął.

BAR-KOCHBA.

A Jakób, Ismael, Eljasz?

ŻOŁNIERZ.

Zginęli wszyscy.

BAR-KOCHBA.

Któż ci pozostał?

ŻOŁNIERZ.

Benjamin ranny i bezpłodna żona.

BAR-KOCHBA.

A ty jeszcze walczysz?

ŻOŁNIERZ.

Królu! Tyś już utracił setki tysięcy wiernych dzieci, a jeszcze walczysz? Mnie tylko synów jedenaście zginęło.

BAR-KOCHBA, *(zwracając się do innego żołnierza.)*

Ciebie widziałem na murach Sichinu; zabiłeś pięciu Rzymian, potem zarwali cię z murów. Ocalałeś?

ŻOŁNIERZ.

W rowie zabiłem jeszcze dwóch, reszta uciekła, wdrapałem się napowrót na mury.

BAR-KOCHBA.

Jesteś walecznym. *(Do innego żołnierza.)* Tyś to zabił legata rzymskiego, dowódcę w Bikat-Jadaim?

PUŁKOWNIK.

Królu! Ten sam oto żołnierz w Tur-Simonie z mieczem w prawej, a z głownią w lewej ręce bronił skrzyni z Torą świętą przed całym oddziałem rzymskim tak długo aż nasi przyszlili mu w pomoc.

ŻOŁNIERZ.

O mnie nie mów, Królu, żem waleczny. Czudłem wówczas siłę taką, że byłbym oparł się i legionowi. Widziałem raz, jak lwica broniąca swych młodych rozszarpała ośmiu zbrojnych myśliwych.

BAR-KOCHBA.

Towarzyszu! Masz słuszość! Ta lwica była nieprzewyciężoną! Nieprzewyciężoną, jak my wszyscy, żołnierze, u których piersi leży Judea cała. Wielki Bóg Izraela odwrócił od nas oblicze Swoje; niechaj kapłani się modlą! wy żołnierze, walecznością zdobędziecie Jego łaskę.

ELEAZAR, *(łagodnie.)*

Królu! Ty bluźnisz!

BAR-KOCHBA.

Kto takich ma żołnierzy, temu nie trzeba wlec się na klęczkach za kapryśnym Bogiem i zebrać o łaskę!

ELEAZAR, *(mocniej.)*

Królu! Ty bluźnisz!

BAR-KOCHBA, *(zwracając oblicze swe w górę.)*

Boże! Jutro walka, jutro chcę zwycięstwa. Dla nas Twej pomocy nie wzywam — nie wspomagaj tylko wrogów naszych, jeśliś naszym Bogiem!

ELEAZAR, *(z rozpaczą.)*

Królu! Tyś bluźnił!

(Słychać hałas za sceną.)

BAR-KOCHBA, *(odwracając się tyłem do Eleazara.)*

Odejdźcie na noclegi. Zrana — do widzenia.

(Załoga odchodzi w szyku wojskowym.)

Pułkowników proszę jeszcze do komnaty mojej. Jakież to krzyki?

SCENA III.

CIŻ; LUD *przywołka z za sceny* SAMARYTANINA.

PIERWSZY z LUDU.

Królu! oto ten nędzny Samarytanin śmiał otworzyć przeciw Tobie jadowite swe usta!

DRUGI z LUDU.

Król Judei, powiedział, powinien jeździć na osle z ogonem w ręku!

TRZECI z LUDU.

Do Hadrjana, powiedział, należy świat, do Ciebie Betar!

CZWARTY z LUDU.

Lepszy prawdziwy namiestnik rzymski, powiedział, aniżeli fałszywy mesjasz!

GŁOSY z LUDU.

Rozszarpać go! Powiesić! Zrzucić go z murów!

BAR-KOCHBA.

Samarytanie! Zdrajcy! Wszystkich was wytepię! Chcielibyście psią krew waszą wsączyć w żyły Izraela! O! znam was dobrze! Wiem, żeście w zмовie z Rzymianami! Tej nocy jeszcze wypędzę was z Betaru!

SAMARYTANIN.

Królu, posłuchaj, byłem pijany! Nie ja, ale wino na karę zasłużyło!

BAR-KOCHBA.

Wino? Miasto obleżone, a wy nędznicy spijacie się winem naszym? Utrzymuję rozkaz w mocy! Wyrzucić mi z Betaru rodziny Samarytan!

SAMARYTANIN.

Miej litość, królu! Mamy starców i chorych!

BAR-KOCHBA.

Precz mi z Betaru! Stodoła ciasna, nie ma miejsca na plewę. Zdrajcy! Obierzcie sobie swego mesjasza! Niech waszych chorych uzdrowi! Niech was powiedzie szczęśliwie!

ELEAZAR.

Wstrzymaj się, Królu! Bóg ojców naszych przebaczał, kiedy jednego sprawiedliwego w narodzie upatrzył! Ażali godzi się za winę pijanego karać tyle rodzin?

AKIBA.

Proroku! Szanuję łagodność twego serca, ale Samarytanie żywią się szpikiem naszych kości! Jeżeli my ich nie wyrzucimy, to oni nas wyrzucą!

BAR-KOCHBA.

Zacny Akibo! Ty kochasz swój naród! Odejdź i zarządź, by rozkaz został spełnionym dosłownie. Tego zdrajcę za mury! Niechaj mu Hadrian piasku podsypie! (AKIBA odchodzi *pcwoli*, *wstrzymywany przez ELEAZARA*).

SAMARYTANIN (*wyrrywając się nagle i uciekając w głąb sceny*).

Okrutny królu! Nie mesjaszem, lecz tygrysem jesteś; tygrysem i ja być potrafię! (*Ucieka*).

SCENA IV.

CIŻ; szereg MŁODZIENCÓW *podrastających występuje na scenę i zbliża się do BAR-KOCHBY*.

PIERWSZY z MŁODZIENCÓW.

Królu! zajęty przygotowaniem do walki jutrzejszej, racz nas posłuchać przez chwilkę krótką!

BAR-KOCHBA.

Mów, młodzieńcze, czego pragniecie?

PIERWSZY z MŁODZIENCÓW.

Oto prośba nasza. Betar przepełniony dziś ludnością; w pięciuset szkołach uczą zakonu świętego. Nas, których wprawiają jeszcze w nauce świętej, tyłu tu jest, że gdybyśmy bezbronni, tylko z tabliczkami naszymi w ręku wpadli na Rzymian, wszystkich byśmy pobili!

BAR-KOCHBA (*z uśmiechem*).

Z pewnością?

PIERWSZY z MŁODZIENCÓW.

Z pewnością, Królu! Otóż błagamy cię Panie nasz i wodzu: pozwól nam jutro uczestniczyć w wypadzie na Rzymian! Nie shańbimy oręza judejskiego: wrócimy zwycięscy, lub zostaniemy nieżywi!

BAR-KOCHBA.

Chłopcze! Za te słowa zasługujesz, aby cię złotem obsypać. (*Daje mu kieszę*). Jeśli wrócisz, to żyj szczęśliwie!

PIERWSZY z MŁODZIENCÓW.

Daruj, Królu, ja złota przyjąć nie mogę. Ale jeśliś łaskaw na mnie, to rozkaż, ażeby to złoto przetopiono na łańcuch wspaniały, a łańcuch ten niechaj zwiśnie na szyi tego, którego przykład uczynił z nas wiernych synów Judei. Niechaj będzie to odznaką, ofiarowaną przez naród cały.

BAR-KOCHBA (*z uśmiechem*).

I któż to taki? Dalekoż złoto moje pójdzie odemnie?

PIERWSZY z MŁODZIENCÓW.

Zostanie w twem pobliżu, królu! Bo tym mężem, którego tak czcimy i kochamy, jest prorok Eleazar, ów ojciec narodu.

ELEAZAR (*łagodnie*).

Milez, chłopcze!

(MŁODZIENIEC *patrzy z zapytaniem na BAR-KOCHBY*).

BAR-KOCHBA (*pochmurnie*).

Milez, chłopcze! Prawdziwa zasługa nie potrzebuje chwaly, i to z ust dziecięcych. (*Po chwili*). Prośba wasza — nie powinienem jej spełnić — wście nadzieją Izraela; wasz prorok — wasz prorok — dobrze was wychował... (*Spogląda na młodzieńców*). No, chociaż gdybym ja był pomiędzy wami — niktby mnie nie wstrzymał, ani wódz, ani prorok, ani matka rodzona. Nie powinniście

jeszcze umierać bezdzietni, sami dziećmi. Załatwicie sprawę tę z waszem sumieniem, ja z własnym zgodzić się nie mogę. Teraz — odejdźcie!

(MŁODZIENCY odchodzą; równocześnie LUD usuwa się z sceny).

SCENA V.

BAR-KOCHBA, ELEAZAR; IZMAEL i MEIR (*trzymają się w głębi*), następnie ELEAZAR.

ELEAZAR (wyrывая się z zadumania głębokiego).

Królu! Gorące modły zasałałam w tej chwili do Boga; i patrz oto, Pan Izraela natchnął mnie duchem Swym, włożył słowa w usta sługi Swego i oto przemawia do ciebie: Ci, co przed tobą władali Izraelem, wszyscy wznosili gmachy jaśniejące — czyny swej działalności, wiary i odwagi; ale wszyscy też biały marmur gmachów tych obrzucali sami kałem cuchnącym — czynami porywczosci, uniesienia i okrucieństwa. Oto przekleństwo wielkich darów i zalet wielkich, że poślubiły na wieki dumę i bluźnierstwo. Słuchaj, wodzu Izraela, oto, powiada Pan wiekuisty: Jam zawsze ojcem waszym, nawet kiedy karam. Przyjmując dary moje, bądź pokornym, w dumę się nie wbijaj; i chłosty przyjm pokornie, wytwaj spokojnie pod ręką karzącą.

BAR-KOCHBA.

Prorokujesz dla dzieci! Jam dorosłym mężem.

ELEAZAR.

Nie przerywaj królu! Biada temu, co zawiniwszy, gniewnie spoziera na kary Wiekuistego! Co miasto pokutować, ucieka z domu Ojca swego, opuszczając przekazania zakonu! Roślina, póki tkwi w ziemi, ma nadzieję życia; choćby ta ziemia, zeschnąwszy, na post ją skazała, wróć strumienie ożywcze, a roślina podniesie omdlałe swe liści. Ale skoro z tej ziemi wyrwana, zgon jej bliski! Ona nie dla powietrza stworzona; odetchnie niem słabo i omdlawszy, zginie.

BAR-KOCHBA.

Dla drzew prorokujesz! Ja człowiekiem jestem.

ELEAZAR.

Człowieku! Silniej, niż roślina w ziemi, tkwić winienes na gruncie zakonu! Czyż nie Bóg twój źródłem siły twojej, twoich soków? Pokorna wiara, to twa ziemia życiodajna! Myśmy nie stworzeni do życia boskiego, co z nikąd siły nie czerpiąc, samo sobie łonem matczynem i grobem, początkiem i końcem. Wkrocź w to powietrze, nie dla ludzkiej piersi przeznaczone, a omdlejesz i zginiesz.

BAR-KOCHBA.

Sam w sobie najsilniejszy jestem.

ELEAZAR.

Ale Bóg powiada tobie: Własną ręką wyrwasz swe korzenie; przerwij pracę zgubną, a zdołasz wyhawić

siebie i nas wszystkich. Ale biada ci, powiada Wiekuisty, skoro wytrwasz w dumie i bluźnierstw pokorą nie złagodzisz!

BAR-KOCHBA.

Nudzisz mnie, proroku!

ELEAZAR.

To, co jest rozkoszą twoją, przemieni się w gorycz trującą; ci, co sprzyjają tobie, znienawidzą cię. Kobiety, kwiaty twoje wonne, wsączą truciznę w usta twoje; przyjaciele twoi otoczą pierś twę węzem, który cię zabije. Lud, któryś wiódł niegdyś do zwycięstw, powiedziesz na stracenie!

BAR-KOCHBA.

Milcz, śmiałku!

ELEAZAR.

Królu, coś mesjańską szatę przemienił na purpurę dumną, los ci ją zdechrze, odziewając cię w biel pogrzebową!

BAR-KOCHBA (*podnosi pięść potem, hamując się, odwraca się tyłem do ELEAZARA*).

ELEAZAR.

Człowieku! Nie proroka obrażasz, ale Boga Wiekuistego!

BAR-KOCHBA (*zwróciwszy się na pół do ELEAZARA*).

Odejdź, a na przyszłość poskramiaj języka!

ELEAZAR.

Poskrom gniew Boży, a język mój zamilknie!

BAR-KOCHBA.

Uszanuj króla swego, Pana w Izraelu!

ELEAZAR.

Uszanuj swego króla, Boga w Izraelu!

BAR-KOCHBA.

Szanuj życia swego! Jesteś nędznym śmiertelnikiem!

ELEAZAR.

Szanuj swojego! Albowiem mało jeszcze zawinić ci trzeba, a Pan cię obali i pozbawi cię życia.

(*Odchodzi; podczas słów ostatnich ABIMELECH zjawia się i podchodzi bliżej*).

SCENA VI.

BAR-KOCHBA. ABIMELECH. (IZMAEL i MEIR *w głębi*).
ABIMELECH (*powtarzając słowa ELEAZARA z przesadnym patosem*).

Pan cię obali i pozbawi cię życia! Pokaż to na piśmie, proroku! Wleź na szczyt Chorebu i napisz to na tablicy kamiennej; potem dopiero, kiedy nam ją pokażesz — nie uwierzę, że to od Boga; chyba jeśli będzie na niej podpis jego własnoręczny.

BAR-KOCHBA.

Kim jesteś, niedowiarku potworny?

ABIMELECH.

Kto, ja? O mnie się pytasz? Nie wierzę, aby ktoś o mnie się mógł pytać.

BAR-KOCHBA.

Przypuść, żeśmy się spotkali w pustyni.

ABIMELECH.

Żyję w pustyni; ludzi tu nie ma. Są tylko tygrysy drapieżne, jadowite węże, głupie bociany i obrzydliwe, śliskie ropuchy.

BAR-KOCHBA.

Nie powiesz imienia swego, pustelnika?

ABIMELECH.

Żądasz zbyt wiele; imię moje, to jedyne, co posiadam na własność; czy chcesz mnie uczynić biedniejszym od psa domowego? Ale tyś prosił, tyś nie żądał; to mnie wzrusza. Oto powiem ci, wędrowcze, któryś mnie spotkał w pustyni, że zwią mnie zwykle — człowiekiem. Z łaski, bo jak widzisz, (wskazując na garb swój) jestem nieludzkim. Ale przypuściwszy, że jestem człowiekiem, to muszę być nieszczęśliwym człowiekiem, bo jestem potomkiem Jakóba; jestem z tego samego pokolenia, któremu przydarzyło się nieszczęście, iż królowali mu Dawid, Salomon i Bar-Kochba.

BAR-KOCHBA.

Tych królów, których inni sławią, ty ganisz?

ABIMELECH.

Mieli miecz i byli płodnymi; tem samym grzeszyli, czem się wsławiali. Dawid — tak mi dziadek opowiadał — miał wiele żon i zamordował wielu ludzi; Salomon więcej, a ty, królu, skoro dożyjesz — najwięcej.

BAR-KOCHBA.

Podobasz mi się, łajdaku. Nie jesteś tak nudnym jak Eleazar. Podobasz mi się: jesteś śmiałym, nie wierzysz w nic, a przytem — nieprawdaż — gorzko ci.

ABIMELECH.

Gorzko, Panie. Dusza moja jest polem, które ludzie zasiali piołunem; przeorali je dobrze, teraz zbierają plony. Ciekawys może, czem jestem? — Filozofem, Królu. Filozofuję, bo nie mam co jeść; a raczej nie mam co jeść, bo jestem filozofem.

BAR-KOCHBA.

Słuchaj filozofie! Będziesz miał co jeść. Dawnom się oglądał za człowiekiem takim. Filozofji mamy dość, każdy dla siebie; ale humoru zbyt mało. Czy zgodzisz się wejść w służbę moją? W służbę lekką: zostaniesz błaznem moim.

ABIMELECH.

Najchętniej, Królu, ale pod jednym warunkiem: jeśli ty moim zostaniesz.

BAR-KOCHBA.

Usługa za usługę! Udaj się do pałacu mego.

(ABIMELECH odchodzi).

SCENA VII.

BAR-KOCHBA (*w głębi* IZMAEL i MEIR).

Bez tej zimnej wody febra byłaby mnie pożarła. (*Zwracając twarz ku głębi miasta*). Ha, mężu Boży! Jakżeż was nienawidzę, wy wiecznie pokorni, wiecznie pobożni, wiecznie zgodni — z Tym tam! Tchorze, w których ciasnem sercu nigdy duch męski nie zamieszkał! (*Po chwili*) A jednak, ten robak umie ująć sobie serca ludu, umiałby pozabawić mnie serc tych! Co, królu! Chciałbys go usunąć? Nieprawdaż? Męża prawego, który kocha kraj bardziej może aniżeli ty sam, wodzu wielki! Nie! Jestem uczeiwy, dobry i prawy, jestem pewny siebie, zbrodni — zbrodni nie popeknę. Ale ten człowiek uznawać nie umie: Bóg sam nie kroczy z orężem na czele! Gdyby nie ja, byłibyście ciągle jeszcze w niewoli, gdyby nie ja, nie byłoby dziś niezawisłej Judei. Jeżeli nie ja, to zgniotą was Rzymianie; ja jeden jeszcze ocalić was mogę. Nie ja, lecz on się zbrodni dopuszcza; miasto dodawać mi siły i odwagi, rani mnie i męczy, gniewa i pozbawia dzielności. Jeżeli mówi, to stoję się chwiejnem dzieckiem; 'gniewnem, kapryśnem dzieckiem. I ja to znoszę? — — — Co? Chcesz go zgnieść? Zgnieść proroka? Wodzu szlachetny! (*Po chwili*) Nie, ja nie chcę nic, nic, nic!

(Odchodzi, za nim IZMAEL i MEIR).

SCENA VIII.

(*Na polu zjawiają się* RUFUS, SEVERUS i CENTURIO rzymski; *ten ostatni kroczy na przedzie z latarnią w ręku; wszyscy przemawiają głosem zniżonym*).

CENTURIO.

Zwiedziliśmy wszystkie okopy; oto już mury Betaru; czy mam się wrócić, wodzu?

SEVERUS.

Pragnąłbym jeszcze zbadać budowę i materiał murów. Ogromne kamienie, któremi maszyny nasze mury te obrzucały, mało im szkodziły. To żelazne kwadry!

CENTURIO.

Po każdym szturmie załoga Betaru wprawia w mury każdy kamyk odbity. Pracują przez noc całą aż do ranka. Nasz żołnierz zmęczyłby się szybko przy takiej pracy.

RUFUS.

Julusz Severus uważanym był dotychczas za największego wodza naszych czasów.

SEVERUS.

Ten rokoszanin palestyński zdiera mu jego warzyny, liść za liściem. Nikt nie prześcignął tego wodza, co tak nagle z pod ziemi wyrósł, w ustawianiu szyku wojennego; okopy i mury twierdzy jego są mistrzowskie, a tajemnica komunikacji i obrony jego w miastach obleżonych

do dziś dnia jest mi nieznaną. Żołnierze jego walczą jak słonie rozjuszone, tratują i miażdżą kohorty; a on sam sieje postrach w naszych szeregach jak Hektor wśród Greków. Chciałbym się z nim zetknąć w walce, oko w oko, miecz o miecz; naraziłbym życie, aby go pokonać. Zabiłbym go z rozkoszą i z szanowaniem, przynależnym takiemu wrogowi!

RUFUS.

Tyś wodzem, zapal wojenny cię porywa. Jam namiestnikiem: Ja bym lotra tego kazał porwać przez siepaczy moich, ukrzyżowałbym go, a z ciała jego wyrwałbym obcegi dla psów moich. Ha, ha, ha! Przednia pieczeń! Serce gotowiliśmy sami zjeść!

SEVERUS.

Namiestniku! Prawo wojenne nie jest ustawą dla rzeźników; dzielnego tego trupa uchronię przed twoimi psami.

RUFUS.

Potargujemy się jeszcze; tak go nienawidzę, żem powymyślał dla niego cudowne tortury; śliczne sztuczki! Nie dam sobie tak łatwo obrócić w niwecz rozkoszy tak długo wyczekiwanej!

CENTURIO (*podnosząc latarnię*).

Ktoś się zbliża; zdaje się że ranny — to nie Rzymianin.

SCENA IX.

Poprzedni, zbliża się SAMARYTANIN, utykający na jedną nogę.

SAMARYTANIN (*również stłumionym głosem*).

Potęźni wodzowie! Przychodzę ofiarować wam usługi moje. Bar-Kochba tej nocy wypędził z Betaru Samarytan wszystkich. Poprzysięgliśmy mu zemstę. Ja, zeskoczywszy z murów, zraniłem nogę i leżałem w fossie, aż głosy rzymskie usłyszałem. Czy przyjmiecie usługi moje?

SEVERUS.

A czy jesteś odważnym i dzielnym?

RUFUS.

A czy jesteś chytrym i przebiegłym?

SAMARYTANIN.

Jestem dzielnym i przebiegłym, jak każdy Judejczyk. Wiem co w Betarze się dzieje, podam wam sposoby do zajęcia miasta, chytre sposoby; a sam gotów jestem je wykonać, dzielnie, z narażeniem życia.

SEVERUS.

Bar-Kochba! Cóż wiesz o Bar-Kochbie? Mów, mów prędzej, a z góry wynagrodzę cię za twe usługi! Nie widziałem go jeszcze! Rosły on? Czy niski? Barczysty? Czy smukły? Którą bronią włada najdzielniej?

SAMARYTANIN.

Panie! Budowa twa jest wspaniała, rysy twe królewskie, masz wejrzenie Cezara; ale Bar-Kochba jest wspanialszym; kiedym go ujrzał po raz pierwszy uląkłem się go bardziej, aniżeli kolosalnego posągu Jowisza. Ramię jego starczy za oszczepy, miecze i tarcze wasze, oko jego większy postrach budzi, aniżeli wasze katapulty ogromne.

SEVERUS.

O poranku, poranku! Wnet obaczę ciębie, a wraz z tobą Bar-Kochbę!

SAMARYTANIN.

Bar-Kochba jest głową i ramieniem, ale prorok Eleazar jest sercem Judei. Najsamprzód usunąć należy Eleazara. Bar-Kochba czuje zawisć ku niemu; użyjemy jej zrzeczenie, wzbudzimy podejrzenie Bar-Kochby, a Eleazar zginie.

RUFUS.

Zaczynasz mi się podobać, chłopcze!

SAMARYTANIN.

Tajemnice połączenia Betaru z okolicą, ukryte drogi i wejścia znane są tylko królowi, który czuwa nad wszystkim; tajemnice te trzeba by wyłudzić u króla.

SEVERUS.

A zdołasz je wyłudzić?

SAMARYTANIN.

Nie zdołałbym ich wydostać od Bar-Kochby, gdybym przystąpił do niego na czele stu tysięcy zbrojnych, dzielnych wojowników, ale wydotanę je, jeżeli dacie mi na pomoc jedną kobietę powabną a zręczną.

RUFUS.

Tę kobietę? Świetny pomysł! Mam heterę grecką, której bym powierzył kierownictwo wojny judejskiej, gdyby Juljusz Severus jej nie prowadził!

SEVERUS (*z uśmiechem*).

Wysoko cenisz swoje Dejanire!

RUFUS.

Rzecz ułożona! Dejanirze ufać można. Chodźmy! Wnet ranek zaświta i walka zawrze. (*Odehódzając*). Skoro kły twoje nie rozszarpią go, lwie Kytheronu, skoro nie zabije go ten wąż lernejski (*wskazując na SAMARYTANINĄ*) to i ten Herkules zginie przez koszulę zatrutą, którą owinie go piękna Dejanira!

(*Kurtyna zapada*).

(*ciąg dalszy nastąpi*).

RUCH NAUKOWY

Powstanie ziemi

I STOPNIOWY ROZWÓJ ŻYCIA ORGANICZNEGO

na jej powierzchni.

Podług N. S. Skaler'a z „Życia“.

(Ciąg dalszy).

W epoce następnej, zwanej Węglową, nastąpiła druga charakterystyczna zmiana w istotach zaludniających ziemię. Z najstarszych epok posiadamy skały pochodzenia morskiego, zawierające szczątki morskich zwierząt, lecz bardzo nieliczne przechowały się w nich ślady stworzeń zamieszkujących lądy, lub nawet wybrzeża morskie. Z epoki węglowej dopiero zachowały się rozległe pokłady skał, powstałe na dnie bagien w sposób powyżej w tej książce opisany. Są to pokłady węglowe, które jakkolwiek uległy w wysokim stopniu zniszczeniu przez deszcze i morze, dotąd jeszcze pokrywają znaczne przestrzenie na powierzchni ziemi. Pokłady węgla tworzyły się na powietrzu — i chociaż w bagnach, w których wzięły początek, żyło bardzo niewiele zwierząt, to przecież znajdujemy w nich pewne skamieniałości, które nas przekonują, że w tej epoce świat zwierzęcy znacznie naprzód postąpił — spotykamy tu bowiem owady prostoskrzydłe, pająki i skorpiony, a co ważniejsze nawet pewne zwierzęta kręgowo oddychające powietrzem, podobne do salamander i trytonów dzisiejszych. Były one tak wielkie, jak aligatory, i miały kształt do nich podobny, lecz należały do niższej grupy skrzeków ziemnowodnych, lęgnących się z jaj w postaci kijanek i przez niejakiś czas przebywających wyłącznie w wodzie, jak nasze młode żaby, trytony i salamandry.

Pojawienie się tych zwierząt można uważać za pierwszy krok na drodze postępu od ryb do kręgowców lądowych. Zasługują one na uwagę z tego względu, iż są pierwszym ogniwem w szeregu najwyższych, którego ogniwem ostatniem jest człowiek. Starożytne lasy paprociowe węglowej epoki musiały mieścić w sobie niewielu przedstawicieli dzisiejszych zwierząt leśnych. Nie było w nich ptaków, ani węży, ani jaszczurek, ani zwierząt ssących, ani pszczoł nawet, które dla braku kwiatów i owoców na drzewach ówczesnych nie miałyby gdzie miodu szukać. Lasy epoki węglowej były ponure, wilgotne cieniste; jedynymi głosami jakie się w nich rozlegały, były — świst wichru, huk grzmotów i wybuchów wulkanicznych, lub szmer strumieni i huk

bałwanów morskich, rozbijających się o skaliste wybrzeża.

W tejże samej epoce węglowej dostrzegamy wielkie zmiany pomiędzy istotami zaludniającymi morze. Wiele rodzin wymiera zupełnie, jak np. trylobity, a wiele innych, jak szkarłupnie np., stają się coraz rzadszymi, a trwa ten upadek życia morskiego jeszcze dalej, aż do końca epoki zwanej Permską, która nastąpiła po węglowej.

Przeszedłszy do epoki zwanej Tryjasową, która nastąpiła po epoce Permskiej, ujrzymy znaczne ożywienie pomiędzy istotami lądowymi. W epoce tej znika wilgotny klimat i wysychają niziny lądowe, które przyczyniły się do szybkiego wzrostu bagien; powietrze się ociepla, osusza, a lądy znaczne już pośród oceanu zajmują przestrzenie.

Teraz największy postęp uwydatnia się pośród zwierząt lądowych, a rośliny znacznie od roślin epoki węglowej się odmieniły. Nie same już tylko drzewiaste paprocie rosną po lasach, lecz ukazuje się wielka liczba drzew bardzo podobnych do sosen, a owady rozmnożyły się znacznie. Dotąd jedynym kręgowym zwierzęciem była wielka błotna salamandra — teraz pojawiają się liczne jaszczurki olbrzymich rozmiarów. Jedne prawdopodobnie były roślinożercze, ale większość ich należała do mięsożernych; zdaje się również, iż jedne z nich były mieszkańcami dawnych bagien, drugie zaś lasów. Również bardzo się rozmnożyły i rozdzieliły na wiele gatunków zwierzęta podobne z kształtu do salamandry. Pozostawiły one jedynie odciski stóp na skałach łupkowych, utworzonych z miękkiego iltu, nad brzegami jezior i mórz nagromadzonego.

W wielu okolicach znajdują się w olbrzymiej ilości doskonale przechowane te odciski stóp salamander, a najwięcej ich dostrzegamy w stanie Massachusetts w Ameryce północnej, wyciśniętych masami na tarczonym czerwonym piaskowcu. Z tych śladów możemy wnosić, że te istoty należały do rzędu skrzeków ogoniastych, które, jakkolwiek miały cztery nogi, chodziły tylko na tylnych, podobnie jak kangur.

Dziwaczne te zwierzęta należały do wielu rozmaitych gatunków. Niektóre z nich dochodziły prawdopodobnie wysokości 6 do 7 stóp, gdyż ślady wskazują, że ich nogi musiały być na trzy stopy od siebie oddalone, — z czego również wnosić można, że stworzenie, które pozostawiło te ślady, musiało ważyć kilkaset funtów. Oprócz powyższych jednakże, znajdujemy ślady innych zwierzątek podobnych, które prawdopodobnie były trochę tylko większe od wróbla. Rzecz dziwna, że nigdzie dotąd nie znaleziono kości tych zwierząt, ani stworzeń, któremi się one karmiły — i gdybyśmy nie

odnaleźli wyraźnych odcisków ich stóp, nie byśmy nie wiedzieli o istnieniu tych zwierząt.

Wszakże daleko bardziej zajmującym faktem, niż wspomniane ślady zwierząt, jest znalezienie w skałach należących do epoki Tryjasowej kilku skamieniałych szczęk drobnego zwierzątka ssącego, które nas przekonywają, że w tej epoce żyło już na ziemi inne zwierzę kręgowie, bardziej zbliżone do człowieka.

Stwarzając to małe zwierzątko podobne do dydelfa, może pierwsze, którego młode, żywe przychodziły na świat, życie organiczne na ziemi zrobiło wielki krok naprzód. Zdaje się, że te małe zwierzęta zwane mikrolestes, albo dromaterium — albowiem tylko te dwa różne, lecz powinowate ze sobą gatunki znaleziono w Anglii i północnej Karolinie — były owadożernymi. Pod względem kształtu i wielkości, były one podobne do dziś jeszcze żyjącego w Australii zwierzęcia, o ile o tem wnosić możemy z paru odnalezionych kości, ważących zaledwie jedną uncję, a stanowiących arcy drogocenny zabytek przeszłości.

W epoce Tryjasowej — o której mówimy — klimat musiał być przeważnie suchy, albowiem znajdujemy w skałach z tego okresu pochodzących liczne pokłady soli, powstałej przez wyparowanie wody w jeziorach nie mających żadnego odpływu, to jest, podobnych do jeziora Martwego w Syrii i słonego jeziora w Utah w północnej Ameryce, oraz w płytkich zatokach morskich. W tej epoce zwierzęta uległy zmianie. Niektóre olbrzymie jaszczurki lądowe stają się zwierzętami wodnymi.

Nogi ich przemieniły się na pletwy, które wspólnie ze spłaszczonym ogonem służą im do pływania po wodzie, ryby zaś, na które polowały te jaszczury, bardziej są już podobne do dzisiejszych ryb, aniżeli ich poprzedniczki z dawniejszych epok.

Trylobity i niektóre szkarłupnie zanikają stopniowo — a również zanikła większa część koralów właściwych poprzednim okresem, — mięczaki uległy tylko takim samym drobnym zmianom gatunkowym, jakim kilkakrotnie ulegały już w poprzednich epokach geologicznych.

Po epoce Tryjasowej, idzie długi szereg wieków, podczas których coraz więcej się rozwija i doskonali życie na ziemi; lecz pomimo to, bardzo długo nie spotykamy tu tak wybitnych zmian, jak te, które nastąpiły pomiędzy epoką węglową i Tryjasową. Geologowie zowią ten długi okres czasu wiekiem płazów, z tego powodu, iż w nim główną odgrywały rolę istoty podobne do jaszczurek.

Nie było podówczas w morzu żadnych wielkich ryb drapieżnych, któreby mogły z niemi wal-

czyć o lepsze, dlatego też bez przeszkody jaszczury morskie pożerały słabsze od siebie zwierzęta.

Niektóre zwierzęta drapieżne, pozostałe z poprzedzającej epoki, podobne do dzisiejszych krokodyli, jeszcze bardziej się rozwinęły; jedno z nich żywiły się roślinami i chodziły na czterech nogach jak ssące zwierzęta. Drugie znów zamieniły się na stworzenia latające, podobne do dzisiejszych nietoperzy, znacznie większe, tak dalece, że długość ich rozpostartych skrzydeł wynosiła częstokroć 15 do 20 stóp. Inne znów, bardzo dziwacznych kształtów, zamieszkiwały morze wspólnie z rekinami.

W tym okresie dziejów ziemi, spotykamy po raz pierwszy istoty podobne do ptaków. Były to stworzenia opierzone, opatrzone dziobami, uzbrojonymi w prawdziwe zęby, oraz silnymi skrzydłami: lecz niektóre części ich ciała były podobne do takichże części płazów, szczególnie długie jaszczurcze ogony, ozdobione zrzadka wielkimi piórami, nadawały im wygląd osobliwy. Te dziwaczne istoty są protoplastami dzisiejszych ptaków. W tym również okresie spotykamy ślady istnienia wielkich żółwi, które najprzód żyły jedynie w morzu, o czem świadczy ich kształt, przysposobiony jedynie do pływania; później dopiero ukazują się już żółwie lądowe, z obu stron opancerzone, o tarczach dobrane wykształconych. Teraz równie ukazują się liczne owady podobne do komarów i pszczoł, chociaż bardzo różniące się od dziś istniejących.

W wieku płazów, wielki postęp daje się też dostrzec i w świecie roślinnym. Widzimy tu liczne palmy, drzewa szpilkowe i paprocie, lecz dawne drzewiaste paprocie karłowacieć zaczynają i nie rozpościerają już, jak poprzednio, po wszystkich ładach swoich pierzastych liści. Pomimo tego nie ukazało się jeszcze żadne z naszych drzew liściastych, to jest nie było jeszcze dębów, brzoź, klonów, które tracą swoje liście w jesieni; nie zdobyły też ziemi rośliny o różnobarwnem kwieciu. Żaden gatunek zwierząt nie posiadał tych przymiotów towarzyskich, oraz tego subtelного instynktu jakie tak często znajdujemy u zwierząt obecnej epoki. Prawdopodobnie też nie było jeszcze tak towarzyskich owadów, jak nasze mrówki i pszczoły: nie było jeszcze śpiewaków leśnych, ani zwierząt żyjących gromadnie. W ogóle życie zwierząt w owej epoce było bardzo ponure, — nie dbały one o swoje potomstwo; odznaczały się okrucieństwem, samolubstwem i krwiożerczością, a przytem były niezgrabne, ciężkie i zapewne nie większą posiadały inteligencję od dzisiejszych krokodyli.

Nieznaczny postęp pod tym względem zaznaczyć możemy jedynie w mikrolestes i dromaterium które w swojej ciepłej krwi otrzymały zarodek po-

tegi przyszlých czasów; lecz były to jeszcze bardzo słabe istoty w porównaniu z ówczesnymi połączonymi płazami, mającymi krew zimną. Liczne są ich gatunki, ale małe, niezdolne jeszcze do opierania się dawnym władcom ziemi.

Nieznacznie epoka jurajska — to jest pierwsza część wieku płazów, przechodzi w część drugą zwaną kredową. W tym czasie lądy ulegały ustawicznym zmianom, powierzchnię ziemi zaczęły pokrywać głębokie jeziora, a mamy dowód przypuszczać, że klimat w tym czasie znacznie się oziębził, przynajmniej w tych okolicach, w których dawniej rozwiłmożniły się płazy. Jedynie bowiem znacznemu oziębieniu klimatu możemy przypisać szybkie zniknięcie olbrzymich jaszczurów poprzednich epok. Olbrzymie płazy, posiadając krew zimną, nie mogły wytrzymać nawet umiarkowanego mrozu, — mniejsze zaś chronią się od zimna, kryjąc się na zimę w głębokie szczeliny skał, gdzie ogrzewane ciepłem pochodzącym z wnętrza ziemi, we śnie przepędzają niemłą dla siebie porę. Bądź-co-bądź, szybko zniknęły te olbrzymie płazy, tak, że w połowie epoki kredowej, prawie zupełnie nie było ich już na lądzie — morskie zaś pod koniec tej epoki zmalały do wielkości zwykłej jaszczurki. Natomiast ptaki coraz bardziej się mnożą i stają się co raz podobniejsze do naszych: znikają ich ogony, a długie dzioby tracą zęby. Po większej części są to duże ptaki wodne, brak jeszcze zupełnie naszych śpiewaków leśnych; ale wspomniane ptaki wodne są już doskonałymi ptakami, a nie istotami pośrednimi pomiędzy płazem a ptakiem, jak poprzednio.

Największą zmianę w królestwie roślinnym stanowi ukazanie się drzew liściastych, należących do gatunku dębów, klonów itd. Teraz dopiero lasy zaczynają być podobne do naszych, rosną w nich bowiem sosny i inne drzewa szpilkowe, oraz rozmaite drzewa liściaste, szczególnie takie, które wydają znacznej wielkości nasiona. Ale rzecz dziwna, wymierają małe zwierzęta ssące z uprzedniej epoki, dlatego też prawdopodobnie tak niewiele szczątków tych zwierząt przechowało się w skałach.

Przejdziem od epoki kredowej do trzeciorzędnej rozpoczynają się nowożytnie dzieje ziemi. Opuścimy teraz wszystkie dziwaczne postacie starożytnego świata, olbrzymie płazy, lasy paproci drzewiastych, morza pełne amonitów i belemitów, a wstępujemy do niemniej cudownej, lecz bardzo nam znajomej obecnej epoki. Charakterystycznym jej rysem jest to, iż panowanie na lądzie i morzu przypada zwierzętom ssącym w udziale. Istnieją wprawdzie jeszcze płazy, ale tylko drobne i w bardzo niewielkiej ilości, jako to: małe jaszczurki, krokodyle i aligatory, żółwie, oraz jakby dla wyraźniej-

szego pokazania upadku tej grupy — węże, będące szczególnie skarłowaciałą postacią płazów, niegdys obdarzonych nogami.

Teraz ukazują się pierwsze zwierzęta ssące wyższe. W poprzednich epokach jedynymi przedstawicielami zwierząt ssących były zwierzęta workowate, należące do grupy kangurów i dydelfów, które teraz znacznie zmalały i osłabły, tak iż nie mogą dorównać zwierzętom grup wyższych. Chociaż przebywały one na ziemi przez dwa, a nawet trzy razy dłuższy przeciąg czasu, niż inne, to przecież nigdy nie otrzymały na niej panowania; nie mogą znieść ostrego klimatu, a żaden ich gatunek nie umie pływać tak jak fok i wieloryby, latać jak nietoperze, albo grzebać w ziemi jak krety. Jednym słowem, są to istoty słabe, pozbawione zmyślności, nie zdolne współzawodniczyć z silniejszymi pokrewnymi sobie gatunkami, a nadto nie umiejące się przystosować do rozmaitych warunków bytu.

Już w najstarszych pokładach skał trzeciorzędowych znajdujemy od razu wiele gatunków zwierząt ssących. Prawdopodobnie zaczęły one istnieć w trochę wcześniejszej epoce na innych lądach, których skamieniałości jeszcze nie zbadaliśmy; albowiem postacie ich są tak wykształcone, że potrzeba było bardzo długiego czasu, zanim doszły do tego stopnia rozwoju. Przypuszczamy więc, iż w epoce kredowej żyły już te zwierzęta i coraz bardziej się różniczkowały, to jest tworzyły rozmaite gatunki w krajach, których pokładów dotąd nie zbadaliśmy, ztąd rozeszły się w te okolice, gdzie dziś kości ich znajdujemy. W epoce też trzeciorzędowej i następnych znajdujemy niższe stworzenia pokrewne człowiekowi, z których prawdopodobnie powstał człowiek. Ssące odznaczały się większą prostotą i podobieństwem pomiędzy sobą, aniżeli dzisiaj. Prawdopodobnie nie istniały jeszcze wówczas mały, konie, woły, owce, kozy, fok, wieloryby i nietoperze. Wszystkie te zwierzęta posiadały nogi wielopalcowe, a żadne nie miało nóg opatrzonych racicami jak woły, ani kopytami jak konie. Mózg ich, swoją objętością dający nam niezawodne wskazówki o inteligencji zwierzęcia, był bardzo niewielki; ztąd też wnosimy, że zwierzęta ssące tej epoki były daleko mniej zmyślne, niż dzisiejsze.

(Dokończenie nastąpi).

Wspomnienia więźnia

(1876 — 1885)

spisał

Florjan Bohdanowicz.

(Ciąg dalszy).

Obecnie rozpoczął się dla mnie długotrwały perjod istotnych udręczeń, udręczeń przechodzących granicę zakreśloną najbujniejszą wyobraźnią. Ich też wynikiem była ostateczna ruina mego wcale potężnego zdrowia. Sprawcą zaś tego stał się poniekąd Kotlarzewski.

Jego to niecne nie tylko ze mną lecz z innymi więźniami postępowanie powiodło myśli moje na najzgubniejsze dla więźnia rozdroża. Gdyby — rozważałem sobie — podobne Kotlarzewskiemu osobistości liczyły się na dziesiątki lub też setki i obfitowała w nie jakaś jedna wyłączna kraina, w takim razie ohydne i szkodliwe dla drugich ich zamysły uledzby w czasie musiały wpływowi tych szlachetnych i wzniosłych idei, których byt na ziemi pewna część ludzkości od wieków już okupuje męką i ofiarą życia. Tak jednak nie jest. Ci prześladowcy rosną w liczbę, rozszerzają swe panowanie na ziemi, w ich rękach wszelki owoc cywilizacji zmienia się dla większości w zabójczą truciznę; co zaś więcej, że niecne ich postęпки nie tylko nie zasłaniają ich samych od cierpień i udręczeń ale gotują im nadto przedwczesną zaturę. Jest więc jakaś siła wszczepiona w łono człowieczeństwa, której ono wbrew instynktowi zachowawczemu, ślepem tylko jest narzędziem.

Brzemienny tą udręczającą myślą, nie spotkałem się już więcej z odpoczynkiem. Tracąc grunt pod nogami, zwracałem się po pomoc do różnych gałęzi wiedzy. Ale cóż z tego! Historia narodów i pojedynczych ludzi utwierdzić mnie tylko mogła w powziętym o istnieniu sił ślepych przeświadczeniu. Filozofja przeświadczenia tego zbić nie mogła. Wnikałem całą potęgą władz umysłowych w systemata filozoficzne, zatrzymując pilnie uwagę na orzeczeniach mędrców, ale światła tych gwiazd nikięły na ciemnym mej zwątpiałej duszy sklepieniu. Jakże bo mnie mogła uspokoić np. niewątpliwość Talesa w świadomość spraw ludzkich bogom, skoro ja zwątpiłem w istność bogów. Zdanie Sokratesa »tyle wiem, że nie wiem« ongi tamujące myśl moją od zapuszczania się w niedostępną dlań sferę, obecnie nie wystarczało do powstrzymania rozpoczętego raz procesu.

Nie przynosiło mi także żadnej ulgi wnikanie w płody myślicieli nowoczesnych. Oparty na He-

raklityzmie Hegelizm, w nurtach którego duch mój niejednokrotnie znajdował najwytworniejszy dla się spoczynek, obecnie ciężarem swym gatunkowym wypychał mnie z swych głębi podobnie jak przesycona solą woda trzyma na swej powierzchni usiłującego na dno jej spuścić się nurka; podobnież i Trentowskiego z prawdobłamów zszyta prawdoświeć, poprzestała być dla mnie prawdą istotną, prawdą żywą, do łona której tak żadny byłem przytulić się całym swem jestestwem.

Racjonalizm Kanta, z którym w przededniu krwawych wypadków 1863 r. poznałomiła mnie świeżo ówczesnie w Warszawie otwarta Szkoła przygotowawcza, nie zdołał ująć w karby i w bolu i zwątpieniu poczętego a w pełnym biegu będącego procesu myśli.

Miasto stwierdzenia mego bytu orzeczeniem: myślę a więc jestem; wołałem głosem całego mego jestestwa: czuję a więc cierpię, a cierpiąc ginę. Dla czego ginę ja, dlaczego tylu innych przedwcześnie ginie?

Z pozytywizmem Comte'a, którego dzieło odpoczywało w moim kufierku. stanąłem obecnie w zupełnej sprzeczności. O jakim to pozytywizmie mówiłem sobie — może myśleć człowieczeństwo na tej ziemi, gdy ono niebaczone na naturalną swą zagładę, daży coraz spieszniejszym krokiem ku wzajemnemu wytępieniu.

Rozstawszy się z myślicielami teoretycznymi, zwróciłem się po posiłek duchowy ku źródłu więcej ożywczemu, bo bijącemu promieniami, siłą uczucia w kierunku zbawienia człowieczeństwa pobudzonej i w głębie odległych wieków sięgających idei. Jakoż wnikając w natchnioną miłością człowieczeństwa naukę Chrystusa odzyskiwałem spokój duszy i gdyby w owej godzinie wywiedziono mnie na plac stracenia, to niezawodnie jego ostatnie słowa: nie moja lecz Twoja wola niech się stanie, byłyby i ostatnimi mojemu na ziemi. Słowa te jednak pełne goryczy, w dalszym ciągu nieprzerywanego ani na chwilę osamotnienia, dały powód do coraz wzmagającego się we mnie rozdwojenia. Rażony ich goryczą spytałem: Jakiż to Ojciec, który patrzy obojętnie na śmierć męczeńską swego syna? Jestże on myślą? Nie. Jest on uczuciem? Nie; on jest tylko źródłem myśli, nie zaś myślą, on źródłem uczucia, nie — uczuciem. On źródłem wszystkiego; on jest przyrodą.

I znowu utraciłem podstawę pod stopami, jaką mi dawała rezygnacja i znowu oddany zostałem na pastwę wrogiego otoczenia i własnego rozdwojenia. Otchłań, coraz głębsza otchłań rozwierała się przedemną. Myśli moje szarpały się z sobą jak drapieżne ptactwo a odrętwiałe siłą

rozpaczy moje uczucie obojętne było na zadawane sobie rany.

Po wielodniowym tym wycieńczającym śnie strasznym, śnie bezsennym, podczas którego wirowałem dniem i nocą w okoł swej celi jak po orbicie swej planety, zatrzymałem się pewnej godziny przy okratowanym oknie, usiłując rozegnać w powietrzną przestrzeń gniotące mnie myśli. Ołowiane jednak niebiosa brzemienne śniegowymi chmury nie absorbując moich myśli, odesłały je powrotnie do mnie. Zatrzymując tedy wzrok na uciskającej moje czoło żelaznej przecznicy, pobudziłem znów proces myślenia ale w innym niż dotąd kierunku.

— Ten kawałek żelaza — zacząłem debatować — jak to sprawdziły doświadczenia fizyczne, położony w kierunku południka magnetycznego pod wpływem doznanego wstrząśnienia stając się sam magnezem — nabiera własności przyciągania innych ciał, jako też pobudzenia prądów galwanicznych w otaczającym go zwoju. Nie możeż więc mój mózg i w ogóle substancja mózgowa zwierzęca, pod wpływem magnetyzmu ziemskiego przybierać własności magnezu, indukować prądy w nerwach, znowuż pod wpływem prądów od zewnątrz w nerwach pobudzanych odzyskiwać własności magnezu a zmieniając się w taki, zostawać w nieustającym związku z magnetyzmem ziemskim?

Jeżeli tak jest, to myśli moje, wola moja są tylko wynikiem stosunkowania się tych dwóch najsubtelniejszych sił przyrody. Niechże dotknę jeśli nie zmysły mymi, to przynajmniej wyobraźnią istoty tych sił, znanych mi tylko z ich źródeł i skutków.

Jeszcze dawniej, gdy się zastanawiałem nad zjawiskami elektryczności i magnetyzmu, snuły mi się po głowie przypuszczenia, że iskra elektryczna bijąc w jakiś środek np. powietrze, nie tylko że wywołuje desocjację w molekułach, ale nadto atomy pierwiastków chemicznych rozkłada chwilowo w jakąś substancję zasadniczą.

Potrąciwszy o to przypuszczenie, zwróciłem całą pracę mych myśli ku upostaciowaniu sobie owej hipotetycznej substancji, jakoteż ku uzasadnieniu jej bytu, a mając na uwadze teorię atomistyczną spytałem: Czem są całości szukanej substancji względem atomu jakiegokolwiek bądź pierwiastku chemicznego? Tem, czem atom danego pierwiastku względem swego molekulu. Jeżeli zaś jeden i ten sam pierwiastek w miarę liczby atomów składających molekulu, może oznajmiać się różnowłasnościowością lub różnokształtnością, to dla czegożby substancja jednorodna w swych całościach nie mogła uosobniać swego bytu kilkoma dziesiątkami ciał odrębnych kształtów i własności, które

chemik ze względu na niedostatek środków analitycznych uznawać musi pierwiastkami.

Czemże więc była ta hipotetyczna substancja w owym stanie pierwotnym? Byłaż ona materją? Nie; bo cały zasób energii całości, zwrócony ku wzajemnemu się ich odpychaniu czynił je niezawisłymi względem siebie samych, jakoteż względem moźebnych ciał niebieskich. Byłaż ona siłą? Nie była siłą fizyczną lecz siłą żywą, a raczej energją, — była temperaturą.

System tak jednorodnych i niezawisłych całości mógłby więc podobnie jak gaz doskonały w zamkniętej przestrzeni przetrwać, w tej fazie idealnej swej niepodległości, wieczność całą, gdyby jaka przyczyna materialnej natury nie zakłóciła jego doczesnej równowagi. Zbliżenie się wzajemne choćby pewnej liczby całości na właściwą odległość pobudzając w grę siłę powinowactwa międzycząstkowego, stawało się powodem do stopniowego przekształcania hipotetycznej materji w całe szeregi innych, coraz to więcej skomplikowanych systematów, w liczbie których nie pierwsze miejsce zajęły może pierwiastki chemiczne a nie ostatnie królestwo zwierzęce a zatem i człowiek.

Jakiegoż więc rodzaju proces, (ze względu na stosunkowanie się materji do siły) rozpoczęła chwila zetknięcia się z sobą całości zasadniczych i jakie moźebne jest zakończenie rozpoczętego procesu?

Jak początkiem tego procesu było wrobienie się siły żywej pewnej tylko liczby całości w jeden nowo powstały z złożenia się w całość np. wodoru lub też tlenu, tak końcem tego procesu będzie wrobienie się całej sumy sił żywych w zbiorową materję, co podług wiadomych obliczeń pociągnie za sobą obniżenie temperatury ogólnej naszego planety do — 173° C, przy której to temperaturze gazy doskonałe przechodzą w ciało stałe.

Przedstawiwszy sobie taki obraz kreacji, musiałem stanowczo odmówić człowiekowi wolnej woli, uznając czyny ludzkie za objawy różniczkowania się występujących przeciwko sobie w wielkim procesie transformacji sił przyrody.

Fatalizm pod którego władzą zoczyłem się być dotykalnie, zastępując początkowo rezygnację, w dalszym ciągu obudzał we mnie stopniowo coraz gwałtowniejszą żądzę walki, którą w samotności zwróciłem przeciwko samemu sobie. Odtąd wnętrze moje stało się areną, na której do wzajemnych z sobą zapasów wystąpiły dwie nienawistne, nie znające chwilowego zawieszenia broni — siły. Usprawiedliwiając sprawców mojej zlej doli, stałem się w obec siebie tem straszniejszym winowajcą, że patrząc na opak, wszystkie moje czyny, których

impulsem były w istocie uczucia szlachetniejsze, obecnie piętnowałem znamieniem zbrodni.

Ja, który nie mogłem obojętnie patrzeć na cierpienia nie tylko człowieka ale nawet owadu, stałem się dla siebie samego najokrutniejszym tyranem, a udęczenia moje moralne doszły do tego, że ulgi przeciwko nim szukać musiałem w tak barbarzyńskich środkach, jak np. zadawaniu sobie ran ostrzem noża, opalaniu rąk nad płomieniem gorejącego w kaźni kaganku, wreszcie wdychaniu nocnymi godzinami, wywiązującego się z samowaru tlenku węgla. Niejednokrotnie znajdowano mnie też rankiem na podłodze w stanie zupełnego obezprzytomnienia, co raz nawet posłużyło za przyczynę do czasowego skonfiskowania mi nagromadzonych w celi węgla.

Wynikiem tych katuszy było niezwykle osłabienie organizmu, objawiające się podniesioną działalnością systemu nerwowego. Zmysły też moje a w szczególności słuch, został tak dalece pobudzonym, że tykotanie zegarka w sąsiedniej celi odgraniczonej od mojej grubą wcale murowaną ścianą, raziło moje ucho jak uderzenia parowego młota, a trzask zamków drzwiowych tudzież głosy ludzkie wprowadzały mnie w stan istotnego szaleństwa.

W dalszym ciągu zacięta walka wewnętrzna ustąpiła miejsca pojednaniu, wtedy jednak zacząłem znowu podlegać trapiącym mnie zarówno dniem jak nocą niewypowiedziane ponurym widzeniom. Jakoż cęła moja w ciągu wielu dni przekształciła się w cmentarz, gdzie z rozwierających się z trzaskiem grobów wstawali umarli; to znów przesunęły się po niej jakieś tajemnicze niepokojące mnie cienie i wszelkie możebne wytworzone chorobliwą wyobraźnią dziwadła.

W połowie marca przeniesiono mnie na górne piętro zamieszkałe przez więźniów stanu.

Zetknięcie się tu po wielomiesięcznej samotności z ludźmi bliskimi mi poniekąd, podziało na mnie korzystnie. Opamiętałem się, a rzuciwszy okiem rozsądku na cały perjod przebytych w samotności udęczeń, uznałem je następstwem patologicznego stanu mojej wyobraźni. Obecnie mojem zadaniem było otrząść się z zaniedbania cielesnego, którego ślady tak dotykalnie dawały się we znaki zarówno mnie samemu jak oczom terażniejszych współników mojej doli.

Świeżo co spadły obficie śnieg, zdawał mi się w tej chwili najwłaściwszym dla mnie trzeźwicielem. Bezwłocznie też kazałem słudze korytarzowemu dostarczyć sobie dość znaczny jego zapas. Środek ten jednak w ranach podobnych dawniej tak dla mnie zbawienny, obecnie okazał się zabój-

czym, w chwili bowiem zetknięcia się z nim obnażonego mojego ciała, uczulem trzask jakiś w kręgosłupie, pociągający za sobą uczucie rozchodzącego się po wszystkich nerwach nader przykrego bólu. To był już ostateczny cios wymierzony przeciw mojemu zdrowiu, wiodący za sobą kalectwo. Deorganizacja szła tak szybkim krokiem, że po upływie kilkunastu dni nie poznawano mnie. — Organizm więc mój w ciągu niespełna ośmiu miesięcy przeszedł całą „skalę” godzących w niego ciosów poczynając od ognia piorunowego do zimna lodowego.

W kilkanaście dni po tym nieszczęśliwym wypadku, zawezwano mnie do prokuratorji. Idąc już o kiju, dowlokłem się tam w ciągu przynajmniej jakichś dobrych dwóch godzin.

Kotlarzewski witając mnie na wstępie zapytaniem o zdrowie i oznajmiając, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy zmieniłem się nie do poznania, uznał za stosowne pokrzepić mnie nadzieją, że choroba nie jest przecież śmiertelną; a przebiegając następnie oczyma jakiś list wyjęty z aktu śledczego, oznajmił: Pan powinieneś znać jeszcze z pobytu swego w Szwajcarii, studenta politechniki Zurychskiej, Stanisława Kruszyńskiego, proszę mi więc powiedzieć, czy list ten pisany jego ręką.

— Osoba Kruszyńskiego nie jest mi znana, i prosiłbym usilnie pana o uwolnienie mnie na przyszłość od podobnego rodzaju zapytań w ogóle — odrzekłem.

Sklaniając mnie do umieszczenia w protokole odpowiedzi mojej względem osoby Kruszyńskiego, spytał: czy nie mam mu do oznajmienia jakich innych żądań.

— Chciałbym się dowiedzieć — odrzekłem — czy śledztwo moje już ukończone?

— Poczekaj pan, poczekaj — mówił zwalnając stopniowo głos Kotlarzewski, — nie jesteśmy jeszcze dotychczas w posiadaniu faktów uzasadniających ciężące na nim zarzuty, skoro jednak te już uzyskamy, to ja z mojej strony nie będę stawiał żadnych przeszkód do oddania sprawy pańskiej w ręce sędzi śledczego.

— Śledztwo to jednakże — mówiłem zakłopotany — może się rozłożyć już nie na miesiące, ale na całe lata, a moje zrujnowane zdrowie wymaga spiesznej kuracji. Czy nie można by mnie czasowo chociaż uwolnić z więzienia na porękę.

— To jest nie możebnem zwłaszcza w tej chwili — ciągnął flegmatycznie Kotlarzewski. — Wypuścić pana na porękę, to znaczy dać mu pasport do Lwowa. Nie prawda? — spytał, wpatrując mi się w oczy. — Zresztą i we Lwowie nie spotkasz się pan z przychylniejszymi dla poprawy zdro-

wia warunkami, niż je masz w naszym więzieniu. Spokój, ciepło, doktor i apteka na każde zawołanie. Prawdziwie — mówił szyderczo — jabym mu nie radził opuszczać więzienia, dopóki nie poczujesz się w swych dawniejszych siłach. — No! do widzenia się — rzekł sucho, dając znak wyjścia oczekującym mnie żołnierzom.

Kotlarzewski, należał do liczby tych stróżów porządku państwowego, którzy nie poprzestając na wyzyskiwaniu swego urzędowego znaczenia, na korzyść swej własnej kieszeni i kariery, szukają w niem zarazem środka do zaspokojenia swych szkodliwych dla ludzkości, szatańskich instynktów. Zimnokrwisty, drobiazgowy i beieczny ten cynik uprawniając swe ohydne instynkta koniecznością walki o byt, uczuwał się zawsze w najzupełniejszej z swem sumieniem harmoniji. Jakoż każda zrzęcznie obmyślana zbrodnia dostępowiała jego uznania, podobnież jak mimowolny objaw dający się usidlić artykułem kodeksu karnego, przekształcał się dla niego w zbrodnię. Rozkładając śledztwo w najbagatelniejszej sprawie już nie na miesiące, lecz na długie lata, miał on na względzie nie tylko zjednanie sobie uznania za tę gorliwość u wyższej władzy, ale nadto zniszczenie w ciągu długotrwałego zamknięcia więziennego osoby podejrzanego. To właśnie stanowiło jeden z głównych artykułów jego, na teorji walki o byt opartego wyznania. W niektórych jednak razach okazywał on gotowość równoważenia tej moralnej satysfakcji inną — natury realnej.

Zwrot podobnego rodzaju nastąpił w nim właśnie, względem osoby Panocziniego, w którego to sprawę, jak wiadomo, okolicznościowo zostałem wplątany. Ujęty, jak mówiono mi, sowitym dalkiem matki Panocziniego, osoby wcale zamożnej, Kotlarzewski zdecydował się całej tej sprawie kark ukręcić. Że jednak treść tejże sprawy spoczywała już zdawna w biurze szefa żandarmerji, nie pozostawało nic innego jak tylko zwrócenie się do fortelu praktykowanego w tych razach bardzo często w sądownictwie rosyjskiem, tym zaś jest uznanie podsądnego obłąkanym umysłowo.

Fortel ten względem osoby Panocziniego był wcale na miejscu, tenże albowiem widząc się zagrożonym co najmniej dziesięcioletnią katogą, od kilku już miesięcy rozmyślnie udawał człowieka obłąkanego na zmysłach i jako takiego odesłano go do szpitala.

Niezadługo i ja otrzymałem tego rodzaju propozycję ratowania siebie, z ust rządcy więzienia Kowalskiego; odrzuciłem ją jednak i pozostając nadal więźniem nie przestawałem zwracać się

do prokuratorji o rychłe zakończenie w toku będącego śledztwa.

* * *

Niecny zamiysł Kotlarzewskiego, wtrącenia mnie do domu obłąkanych niezadługo dojrzał. Jakoż w końcu czerwca 1877 r. stawiono mnie przed komisję lekarską, która nie zadając sobie trudu w zbadaniu stanu mego umysłowego, a kierując się ślepo zdaniem prokuratorji, odesłała mnie do znajdującego się przy szpitalu wojskowym, oddziału dla badań chorób umysłowych.

Wśród szalonego tedy upału w samo południe, zmuszony byłem przejść pieszo więcej niż półmilową odległość, przy akompaniamencie kłąt w i złożeczeń transportującej mnie straży. Zbliżyliśmy się wreszcie pod wały forteczne, a przeszedłszy most zwodzony i sklezione bramy, stanęliśmy przed jednym z pawilonów mieszczących w sobie ów Wydział badań chorób umysłowych (испытательное отделение для сумасшедших).

Tu na wstępie uderzyła wzrok mój osobliwa scena: Na samym wierzchołku wyniosłej topoli kołysał się jakiś młodzieniec grzmiąc kłąt w, na rozstawione w okół topole i podtrzymujących wyciągnięte płachty żołnierzy.

— Roździanko! na miłość Boga, schodź pan z topoli! wołał błagalnie stojący pod sztachetami rządcą szpitalu. — Chodź, chodź! do mnie osle, bymci mógł prędeż karku nakręcić, — odpowiadał głos z wierzchołka topoli, poczem znów rozległ się śmiech szyderczy i przekleństwa.

Nieopodal tej sceny odgrywała się inna. Jakiś człowiek o dzikim wyrazie twarzy, w porozrywanej w sztuki odzieży, z przyczepionym sążniowej długości ogonem, rycząc przeraźliwie, rozkopywał nogami ziemię z taką siłą, że gródki jej przelatwały po za sążniowej wysokości sztachety.

Tam znów na nieznaczej pochyłości wzgórzu cwałował jakiś nagi człowiek, a wydając rozdzierający krzyk, groził pięścią zachodzącemu słońcu.

Nieco dalej z poza drzew ukazała się groźna wyprostowana postać mężczyzny z wyłoczoną papierową koroną na głowie i z berłem w rękę. Ja Car i Samowładca Wszechrosji, zagrzmiiała postać. Dziesięciu powiesić, a resztę na dożywotnią katogę! Owym wszechwładcą był nieszczęśliwy porucznik Romanowski, którego później służba więzienna samowolnie powiesiła na zawiasie drzwi.

Pod murem obwodowym stało w ścięśnionym szeregu wyprostowanych jak świece kilkunastu obłąkanych. Komenderujący tą drużyną b. porucznik

rosyjski K., narzuciwszy fantastycznie lazaretowy chałat ozdobiony pułkownikimi naramiennikami, siarczystą przemową powitał wiarę i powiódł do szturm. Uniesieni zapałem komendanta żołnierze tłuką piersi o zimne mury, borykają się z drzewami, padając bezwładnie od znużenia na zdobytem bohatersko stanowisku.

Przed drzwiami wchodowemi, pod rozsochatym kasztanem, siedzi jakiś barczysty średnich lat atleta w oficerskiej furażce, a wzrok swój błędny wtapiając w uschłą gałąź opodal stojącego drzewa wiódł z nią następującą rozmowę — Wańka! tyś ukradł mi pieniądze?

— Nie, wielmożny panie, — brzmi odpowiedź zmienionym głosem.

— Nie prawda! tyś je skradł; mów zaraz, bo cię każę zamknąć do więzienia.

— Przysięgam na wszystko, żem nie winny — odpowiada sługa. — Łiesz, bo ja sam cię widziałem zakopującego skradzione pieniądze w grobie mego brata na kamienieckim cmentarzu — itd. — Tym nieszczęśliwym był kapitan Lewicki, płatnik pułkowy, który w czasie wojny tureckiej przez zbytnią o powierzoną mu kasę gorliwość, mimo jej całości, wpadł w stan obłądu.

Wprowadzono mnie do wnętrza budynku, gdzie w wstępie kazano mi własną moją odzież zamienić na aresztancką.

Zacząłem się przebierać, gdy w tem ogłusza mnie jakiś szum przerywany traskiem i przerażliwymi krzyki. Spojrzałem w okno; istotny koniec świata. Tłum obłąkanych wśród tumanu pyłu pędząc na wyścigi, wdiera się przez wyłamane drzwi do wnętrza budynku, szukając tu schronienia przed zabójczymi razami, jakimi ich darzy żelazną sztabą, jakiś atleta, wśród okrzyku Turki! Turki! Był to kozak doński Filatów, który w czasie wojny tureckiej podległ napadowi szaleństwa i wysłany pewnego razu z depeszą, rozplątał głowy idącym ulicą kilku mieszczanom rumuńskim, a w ślad za tem własnemu wierzchowcowi. Skazany na miejscu przez sąd wojenny na śmierć, za wdaniem się lekarza wojskowego, który uznał w nim obłąkanego, przysłany został z Ruszcuku do Kijowa, dla dalszych badań. Filatów podlegał tak silnym paroksyzmom, że często potrzeba było dla powalenia go na ziemię kilkunastu nawet żołnierzy.

W salach przez które prowadzi mnie służba przebranego już w aresztancką odzież, spotykam się znowu z pełnymi okropności obrazy.

Miłość moja, wiara i nadzieja przybite do krzyża! woła przenikającym do głębi duszy głosem

młodzieniec wcale przyjemnego lica, a borykając się z pościelą jakby z bałwanami morskimi, krzyczy: ratujcie! rzeka krwi wezbrała, zatapia mnie krew! i znów chwytając się krawędzi łoża, jak szczątków zgruchotanego okrętu, pada na podłogę bezwładny.

— Ogień grecki straszniejszy od granatów, tu z szabłą i rewolwerem nie nie zrobisz; — oznajmia zachwycony swem trafem spostrzeżeniem kapitan Z.... i wspiąwszy się na ostatnią przecznicę okiennic kraty żelaznej, gdzie uczuwając się zupełnie zasłoniętym od niebezpieczeństwa, przemawia do obecnych: To już nie moja, ale waszego baraniego rozumu wina, że giniecie.

Wszedłem do przeznaczonej mi na mieszkanie celi. Odór stęchlizny wypełnia atmosferę, małe okienko wgłębione w sążniowej grubości ścianie, o gęstej grubemi kółkami związanej kracie, rozdziera ostatnią wiązkę światła, jaką mi szle na pierwszą tu noc, krwawo zachodzące słońce. Istny grób! Siennik i derka na wskrós przesiąknięte, drażniącym powonieniem, szpitalowym odorem. Chciałem leż na łożku, lecz powodowany obrzydzeniem, daję pierwszeństwo podłodze. Zasnąć jednak nie mogę, cierpienia moralne zwyciężają znużenie, nie śpię i nie czuam, lecz osłabiam myśli, by ich chmurą osłonić moje zmysły.

Spoczynek godny piekieł!... W tem drzwi otwierają się nagle. Podnoszę się z podłogi. Wynędziała jakaś postać osłonięta długim chałatem oznajmia, że jest sztabskapitanem Emilianowem, klepie nie po ramieniu i woła: — Wiesz przyjacielu! w mojej głowie siedmdziesiąt siedem zajęcy, a wszystkie takie głodne. Przez litość! pożyw ich. — Spojrzawszy na jego zakłopotane lico, wyjąłem z kieszeni kawałek cukru i rozkruszywszy go, posypałem mu głowę. W tem nagle rozległ się krzyk: łapaj! łapaj! trzydzieści siedem zajęcy wyskoczyło z głowy i biegną ku proskurowu. O ja nieszczęśliwy! A jednocześnie grzmot wywróconego nagłym rzutem Emiljanowa, dzbankiem wody i lampą obciążonego stołu. Łomot powstały sprowadza żołnierzy, którzy zarzuciwszy na nieszczęsnego Emiljanowa warjacką koszulę, uprowadzają go.

To nie koniec. W drzwiach niehawem ukazuje się już więcej niż poprzednio wynędziała postać. Postać ta ukazując mi w ręku odłamek wyschłej bułki, ostrzega tajemniczo, bym się strzegł tu od przyjmowania podawanego mi jadła, bo ono wszystko zatrute strychniną. Znakiem podziękowania odprawiłem obecnego gościa. Był nim adwokat Wasilewski, cierpiący na manię otrucia.

Położyłem się powtórnie, ale nie na długo. Tajemnicza postać tą razą zażądała odemnie datku pieniężnego, grożąc mi nożem. Wyrzuciwszy natręta za drzwi, zabarykadowałem je łóżkiem i stołem. Gość mój ostatni był zabójcą. Zamordował własnego ojca i własną matkę, starał się udawać obłąkanego.

Nadszedł ranek ukazując w całej ohydzie to wszystko, co dotąd osłaniał cień nocy. Widząc, że to jaw, usiłuję uznawać w nim sen i rozgonić zabójcze widzenia. Daremnie! Około godziny 10 rano drzwi mojej celi rozwierają się i widzę przestępującego ich progi średnich lat mężczyznę, dość ujmującej powierzchowności w cywilnej odzieży. Świta jego na ten raz składa się z dziesiątka obłąkanych w błękitnych płóciennych chałatach, wysokie tekturowe kołpaki z pióropuszami, pokrywają ich głowy, w rękach ich cymbały i grzechotki. Mężczyznę w mowie będącym, jest lekarz miejscowy dr. Szczerbina, któremu asystują ochotnicy pacjenci.

Wymieniwszy kilka słów ze mną, Szczerbina zawezwał mnie na górę do swej kancelarii, gdzie zaczęło się badanie. Uprzedzony o jego osobie z dobrej wcale strony, wyjawilem mu na wstępie całą przykrość obecnego mego położenia, a wskazując na bezcelowość mego w tej instytucji pobytu, prosiłem usilnie o bezwzględne wysłanie powrotnie do więzienia.

— Oho! jak to panu pilno, — ozwał się Szczerbina — poczekaj! poczekaj! wszakże mnie polecono zbadać stan pańskiego umysłu — na to zaś potrzeba częstokroć nie tylko miesięcy, lecz całych lat.

— Miej pan wzgląd na moje stargane zdrowie — przedstawialem mu — wszak rok już mija od dnia mego aresztu, a śledztwo jeszcze nie rozpoczęte, jeżeli więc ta nadetatowa faza więzienna zgotowana mi nikczemnością prokuratora Kotlarzewskiego, rozciągać się ma na lata, to w takim razie lepiej dojdziecie mnie już od razu.

— Aboż to w więzieniu tak was dręczą? spytał; a gdy mu odpowiedział o wyjątkowych prześladowaniach na jakie narażeni są więźniowie stanu, dzięki nikczemności prokuratora Kotlarzewskiego, Szczerbina wysłuchawszy to wszystko zawołał: — przesada! przesada — a zresztą — mówił dalej — choćby tak było w istocie jak pan mówisz, to racja zostaje po stronie rządu. Wszak przyznaj sam, że zbójcę ubezwładniany w jego szkodliwości dla rządu i społeczeństwa, pozbawiając go toporu lub noża, dlatego też pozostawiamy mu pewną wolność i w więzieniu. Wam zaś zawsze pozostaje broń w języku, którego prawo ludzkości nie pozwala odcinać.

Widząc, że rozmowa moja dalsza do niczego nie powiedzie, wyszedłem przebity do reszty okrutnem mem położeniem.

Przechodząc przez salę anatomiczną mimowolnie rzuciłem okiem w okolo i wzdrygnąłem się. Przy stole sekcyjnym, na którym leżał pokawałkowany trup jakiegoś człowieka, stał kapitan Lewicki, a trzymając w rękę żebro z mięsem żłopał językiem ściekającą z ryndwy cuchnącą posokę. Odwróciwszy wzrok od ohydneho obrazu, przyspieszyłem kroku ale Lewicki puściwszy się za mną w pogoń, usiłował mnie zmusić do dzielenia z nim tej wstrętnej uczty, tak że z nie małym trudem przyszło mi się wyrwać z objęć napastnika.

Nie prędko udało mi się wydobyć z tej istotnie strasznej dla mnie instytucji, gdzie siła odbieranych wrażeń, zastępowała działanie ognia piekielnego. Zaliczony do kategorii umysłowo cierpiących, jako taki pozbawiony byłem prawa zabierania urzędownie głosu w swej sprawie — a o losie mym wyrokował wyłącznie psychiatra kijowski dr Erhard. — W nim też, jako w okrzyczanej powadze naukowej, położyłem całą moją na wyzwolenie się stąd nadzieję. Ale i ta nadzieja mnie zawiodła, a jak się dotykalnie przekonałem, to ten pierwszorzędnny psychiatra rosyjski nie był człowiekiem ni głębszej myśli, ni istotnej nauki, lecz protekcją na ten wysoki szczebel wiedzy wyświęconym geszeftsmanem.

Dr. Erhard, należąc do liczby profesorów policjantów, na których nigdy nie zbywało i nie zbywa rosyjskim uniwersytetom, zaniedbujący się w swych obowiązkach dla instytucji której był kierownikiem, nie mógł sobie zjednać u swych słuchaczy uznania i szacunku, lecz jedynie należącą się egoistycznym eksploatatorom wiedzy — pogardę. Zajęty przeważnie spekulacjami finansowymi nadzwyczaj rzadko pojawiał się w szpitalu a i wtedy jego obecność na minuty tylko się liczyła. Chorzy zaś, między którymi byli przeważnie obłąkani, pozostawieni wyłącznie na łaskę pijanicy feldfebla i posługaczy, w najopłakaniejszym znajdowali się położeniu. Nie rzadko też przychodziło do krwawych zapasów pomiędzy zaatakowanymi paroksyzmami obłądu, a samowolność służby doszła do tego, że służba nie tylko że pastwiła się nad chorymi ale nawet swą ku nim zawziętość zaznaczała zabójstwem, czego dowodem być może śmierć nie szczęsnego porucznika Romanowskiego.

Powątpiewam, czy władze moje umysłowe przy krańcowem wycieńczeniu fizykiem w ciągu pięciomiesięcznego w tej czeluści pobytu, nie uległyby były rozstrojowi gdyby ponura jednostajność odbieranych tu wrażeń nie zostawała przerywaną

z jednej strony odwiedzinami mego ojca, z drugiej zaś pracą mej myśli, skierowaną ku poznaniu źródła jako też natury zbroczeń umysłowych ludzi, z którymi łączyło mnie obecnie jedno tylko nie-szczęście.

Zadanie to nie łatwe okazało się do spełnienia, w liczbie bowiem badanych byli tacy przestępcy, którzy w udawaniu obłąkanych szukając tarczy przeciw grożącej im surowej karze, skwapliwie taili w sobie historję własnej swej przeszłości. Z istotnie zaś obłąkanych, jedni ustalwszy swą myśl na jakimś urojonym fakcie, przy szczególnych tylko zacierających te fakta okolicznościach skłonniemi się okazywali i to na krótkie tylko chwile, do udzielenia urywkowych o ważniejszych momentach swego życia relacyj; inni zaś podlegający czasowemu rozdrażnieniu lub napadom sza-leństwa, w przerwach choroby szukali sami sposobności do zawiązania rozmowy i gotowi byli prowadzić ją niezmiernie, zwłaszcza gdy przedmiot opowiadania dotyczył ich własnej osobistości.

Badania moje w ogóle doprowadziły mnie do wniosku, że choroby umysłowe objawiające się nieskończonym szeregiem czynów anormalnych, do których to czynów należy zaliczyć także wszystkie kategorie zbrodni, są następstwem przeistaczających się w pokoleniach chorób fizycznych. Między setkami badanych indywidualiów nie było prawie ani jednego, którego przodkowie nie podlegaliby chronicznym chorobom, do których przedewszystkiem zaliczają się: suchoty piersiowe, rak, wodna puchlina, choroby zakaźne, wreszcie nałogowe pijaństwo. Potomkowie antenatów dotkniętych temi chorobami, mimo pozornie zdrowego organizmu odznaczają się zbyteczną nerwowością, która w dalszym ciągu ich życia przy danych okolicznościach staje się zarodkiem do rozwijania w nich zbroczeń umysłowych. W ogóle choroby umysłowe i fizyczne są w takiej wzajemnej od siebie zależności jak linie trygonometryczne w okręgu koła. Bodźcami chorób umysłowych są zarówno wstrząśnienia psychicznej jak i fizycznej natury a o szybkości rozwoju choroby i jej rozmiarach wyrokuję potęgą życiowa dotkniętego nią organizmu.

Między umysłowo chorými zdarzyło mi się spotkać w fortecy kijowskiej pewnego rekruta z Siedlec, który w skutek otrzymanego przez kaprała uderzenia w głowę w czasie musztry, na miejscu okazał się pomięszanym na barwach dopełniających się. Żadne argumentacje nie mogły go przekonać, że trawa nie jest czerwoną a krew zieloną, podobnież zabudowania forteczne żółto malowane uznawał modremi, niebiosa zaś żółtemi.

W owym czasie przyprowadzono do fortecy

więźnia, ongi człowieka wysokiej moralności, obecnie zbójcę z przekonania. Ten szczególny zwrot w jego umyśle nastąpił nagle pod wpływem wrażenia wywartego nań wiadomością o morderstwie dokonanem na bliskiej mu osobie.

Czyż fakta podobne nie wykazują dobitnie zależności woli ludzkiej?

W listopadzie wreszcie stawiony zostałem ponownie przed komisję lekarską, która uznała mnie umysłowo zdrowym. Na mocy też jej orzeczenia odesłano mnie do więzienia.

Rażący ponurością widok murów więziennych, gdzie niemal w każdej cegle, w każdym gwoździu dostrzegałem zasklepioną cząstkę utraconego tu zdrowia, nie drażnił już więcej mojej wyobraźni. Władze moje umysłowe przestały poniekąd funkcjonować, hamowane gniołem ścigającego mnie do ostatka złego przeznaczenia.

Bacząc na późną porę zastępca rządcy nie kazał otworzyć mi osobnej celi, jak tego reguła wymagała, lecz pomieścił wspólnie z kilkunastoma przestępcami kryminalnymi. Leżeli oni w półdrzemiac na drewnianych brudnych narach (ławach); powietrze zgęszczone, zatrute wyziewami tamowało oddech.

Wsparłszy się łokciem na wąskiej futrynie okratowanego okna, zamierzyłem w tej postawie oczekiwać ranka. Więźniowie jednak poznawszy we mnie przestępcę stanu, powstali z miejsc i ustępując mi najschludniejszy kącik, zapraszali do spoczynku. Niebawem rozległy się na kurytarzu donośne krzyki, a ukazujący się w nagle odemkniętych drzwiach rządcą więzienia, kazał mnie bezwładnie odprowadzić do osobnej celi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika powszechna.

— Docent uniwersytetu lwowskiego dr. Kawczyński przybył do Paryża z rękopismem opracowanego przez się dzieła p. t. „Essai comparatif sur l'origine et l'histoire des rythmes“. W gronie uczonych paryzkich, a mianowicie u znanego filologa profesora Sorbony i College de France. p. Gastona Parisa, znalazł on żywe zainteresowanie się przedmiotem swej pracy. Wydawcą dzieła ma być p. Vieweg; książka wyjdzie za trzy miesiące. Dr. Kawczyński zbija podobno absolutnie w swem dziele dotychczasową teorię filologów francuzkich, wywodzących średniowieczny ruch poetycki ze źródeł poezji niemieckiej.

— Dr. Al. Raciborski w broszurce (odbitka z „Kosmosu“) zdaje sprawę z doświadczeń, czynionych w paryzkim szpitalu „la Salpêtrière“ co do zjawiska hypno yzmu. Kwestji

tej autor poświęca blisko cztery arkusze druku. We wstępie przebiega po krótko historję sprawy a nareszcie przedstawia stan badań nad hypnotyzmem w Salpêtrière, podając przytem różne definicje hypnotyzmu. Za punkt wyjścia służy trzy stany snu hypnotycznego, rozróżniane przez dra Charcot'a: letarg, katalepsja i somnambulizm. Systematycznie przedstawia tu autor, na czem każdy z owych stanów polega, jak się go sprowadza i jak się usuwa; tu i owdzie zaś znajdujemy w broszurce ilustracje przykładowe.

— Grono byłych uczniów gimnazjum lubelskiego ofiarowało album pamiątkowe z fotografjami jednemu z najzacniejszych i najzasłużniejszych nauczycieli swoich p. Dębowskiemu. Pod jego mistrzowskiem i ojcowskiem kierownictwem wykształcił się szereg ludzi znakomitych lub dla kraju użytecznych, jak prof. Holewński, dr. J. Baranowski, A. Głowacki (B. Prus), W. Gosiewski, J. Ochowicz, L. Krysiński, A. Suligowski i wielu innych. Wszyscy oni niewątpliwie z taką czcią wspominają imię szanownego swego nauczyciela, z jaką autor tej wzmianki.

— Według doniesień kilku pism amerykańskich, w biurze wydziału spadkowego, w okręgu Kolumbia odnaleziono testament Tadeusza Kościuszki z r. 1798. Kościuszko, jak wiadomo, przybywszy po raz drugi do Ameryki, w nagrodę za położone usługi w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych, otrzymał od kongresu unji obszerne włości na własność. Otóż, opuszczając nazawsze ziemię amerykańską, Kościuszko napisał dnia 5. maja 1798 następujący testament: „Ja, Tadeusz Kościuszko, mając zamiar opuścić Amerykę, orzekam i rozporządzam co następuje: gdybym żadnego innego testamentu nie pozostawił co do moich posiadłości w Stanach Zjednoczonych, wówczas upoważniam niniejszem przyjaciela mego Tomasza Jeffersona, aby całą posiadłość moją obrócił na wykupienie murzynów swoich własnych lub innych, na ich uwolnienie w moim imieniu i na wykształcenie ich w rzemiosłach lub innych zawodach; nadto niechaj im wyjaśnione będą obowiązki moralności, jakich nowy sposób życia od nich wymagać będzie, aby byli dobrymi sąsiadami, dobrymi rodzicami i małżonkami; dalej niechaj pouczeni będą o obowiązkach obywatelskich, ażeby byli obrońcami własnej wolności, kraju własnego i społecznego porządku. Wogóle niechaj udzielaną im będzie nauka w wszystkiego, coby ich mogło zrobić szczęśliwymi i pożytecznymi ludźmi. Wykonawcą powyższego testamentu czynię wyżej wspomnianego Tomasza Jeffersona. *T. Kościuszko.*“

— Przywieziona do Petersburga biblioteka po zamkniętym klasztorze dominikanów w Lublinie zawiera wiele dzieł nader cennych i rzadkich.

— Uniwersytet noworosyjski w Odesie stara się o założenie południowego archiwum. Archiwum to ma być specjalnie przeznaczone na przechowywanie i zbieranie dokumentów, dotyczących się t. z. kraju południowego.

— W Wiedniu otwartym został w dniu 26. września kongres międzynarodowy higieniczny. Pragnących w nim uczestniczyć zapisało się około 1320. Kongres będzie szczególnie interesującym ze względu na kwestje, mające na nim być roztrząsanemi. Na pierwszy plan postawiono sprawę środków przeciwko tyfusowi, cholercie, fałszowanym produktom spożywczym, alkoholizmowi i dyfterytyzmowi. Obok tego roztrząsaną będzie kwestja moralności dzieci w związku ze sposobem życia. Pasteur oznajmił życzenie być osobiście dla obrony swoich teoryj wobec swych przeciwników.

— Meteor był widziany dnia 18. września w Wiedniu. Było to zjawisko wspaniałe. Ognista, kulistego kształtu głowa wyrzucała promienie długości metra ciągnąc za sobą przepyszną ogon o blasku czerwonym. Zjawisko całe nie trwało dłużej

nad pięć do sześciu sekund, poczem meteor spadł w tysiącnych świetlnych atomach w kierunku od wschodu na zachód.

— Polskie akademickie stowarzyszenie w Gracu „Ognisko“ rozwija się, pomimo licznych trudności, coraz pomyślniej. W ostatniem półroczu (trzeciem swego istnienia) liczyło ono 22 zwyczajnych członków, trzech nadzwyczajnych i 3 wspierających. Biblioteka powiększyła się ze 100 tomów na 300. Dla rozbudzenia życia umysłowego, urządzano co miesiąc wieczorki literacko-muzykalne z wykładami. Drugim polskiem towarzystwem w Styrii jest istniejąca już od lat dziesięciu „Czytelnia polska“ przy wyższej Akademji górniczej w Leoben, posiadająca wielką bibliotekę polską, wspaniałomyślny dar hr. Sołtana.

— Znakomity historyk niemiecki, profesor uniw. berlińskiego Mommsen, spodziewany jest niezadługo w Rydze; celem podróży tej jest przegląd archiwów, odnoszących się do historii Finlandji, Estonji i Kurlandji.

— W Dreźnie 9. października zbierze się kongres niemieckich stowarzyszeń do pielęgnowania języka, a dr. Dunger będzie miał odczyt o tych stowarzyszeniach i ich przewodnikach, celem wyjaśnienia dzisiejszego stanu puryfikacji mowy niemieckiej.

— W Ulmie otwartą będzie wystawa japońska, której podstawą jest zbiór prof. dra Baelz z Tokio, oraz zbiory rządowe i prywatne w kraju.

— Kongres zwolenników palenia ciał odbędzie się d. 17 i 18. b. m. w Darmstadzie. Udział zapowiedzieli delegowani ze wszystkich niemal krajów Europy i Ameryki.

— P. Włodzimierz Pappafava znany i zasłużony autor na polu międzynarodowego prawa prywatnego, wydał świeżo dzieło: „O prawnym charakterze i historycznym rozwoju prawa własności dzieł literatury i sztuki“ (à propos du caractere juridique et des vicissitudes historiques du droit de propriété sur les oeuvres de littérature et d'art). Praca ta pierwotnie napisaną była w języku włoskim, a na francuzki przełożoną została przez Juljusza Closel adwokata w Lugdunie. Dzieło to składa się z dwóch części. W pierwszej autor rozbiera prawną istotę stosunku autora do jego dzieła z zakresu literatury lub sztuki, a w drugiej podaje zasady prawa obowiązującego w tym przedmiocie we wszystkich państwach do związku międzynarodowego należących. Część pierwsza zatem jest filozoficzna, druga dogmatyczna. Pierwsza jest ściśle wyrazem dzisiejszej nauki, druga zaś dokładnym obrazem obowiązujących prawodawstw. Kto zatem teorią lub praktyką praw autorskich się interesuje, dla tego to najnowsze dzieło uczonego autora żywy obudzić musi interes.

Prawo austriackie i węgierskie znalazło należyte uwzględnienie.

* * *

Zmarli.

— W gub. mińskiej zgasł inżynier-technolog Mieczysław Ślizień. Prace jego specjalne drukował „Przegląd techniczny“.

— Rupert, misjonarz polski, w Azji mniejszej, rodem z Piotrkowa.

— Dr. Ferdynand Schott, prof. anatomji patologicznej w Insbruku.

— Pelgrave Simpson, angielski pisarz dramatyczny.

— William Ferguson, botanik i zoolog, którego prace nad fauną i florą Cejlonu wysoko ceniono, zmarł tamże w 67 roku życia.



Kobiety w przysłowiach ludu

francuskiego, włoskiego i rosyjskiego.

Dodatek do porównawczej psychologii narodów

(Wedle Leonarda Freunda).

(Ciąg dalszy).

Z porządku rzeczy następuje szczegółowy rozbiór rozmaitych rodzajów miłości i okoliczności mniej lub więcej sprzyjających jej powstawaniu i jej trwałości.

Znana to rzecz, że

Stara miłość nie rdzewieje.

I temu nikt nie zaprzeczy, że

Pierwsza miłość jest najszlachetniejsza.

To też:

Kobieta nigdy nie zapomina o pierwszej miłości.

Doświadczenie uczy, iż

Miłość co podczas choroby powstała,
Po wyzdrowieniu ulotni się cała.

Miłość, co z niewierności wyniknie,
Jako słomiany ogień wnet zniknie.

Z nieczystego źródła gdy miłość wypływa,
Jak ogień kuchenny, krótkotrwałą bywa.

Gdzie nazbyt wiele pożądlivosti,
Darmo prawdziwej szukasz miłości.

Kto w ciągu zapust miłość zdobywa,
W poście zazwyczaj jej się pozbywa.

O zewnętrznych objawach miłości i jej działaniu przez influencję, powiadają przysłowia:

Kto się nie pali, ten nie zapali.

Miłości i kaszlu ukryć niepodobna.

Potęgę miłości i wiary działanie
Z czynów li tylko poznać jesteś w stanie.

Makaroni i złoto nie mają wartości
Jeżeli nie doznały ognia gorącości.

Następujące przysłowia zaliczyć już może wypada do diagnostyki i patologji życia miłosego:

Kobiecie zakochanej nie brak odwagi.

Choleryczna kobieta często zakochaną bywa.

Zakochane kobiety mało śpią a wiele śnią.

Kobieta jak kasztan jest gładka na zewnątrz,
Pełna nierówności, chropowata wewnątrz.

Miłość kobieca jak światło księżycza

Dzisiaj jasno świeci, w chmurze jutro skryta.

Tak Francuzi jak i Włosi podług koloru płci i włosów oceniają zdolność kochania u kobiety i obie narodowości przyznają w tym względzie pierwszeństwo brunetkom. Blondynki uchodzą wprawdzie za »plus tendres« ale są za to »moins vives et moins animées«, a to przy możliwości wyboru przemawia na ich niekorzyść. Francuz radzi wprost:

Pour aimer prenez la brunette.

Włoch posuwa się jeszcze dalej, twierdzi bowiem na szkodę jasnowłosych i niebieskookich:

Blondynka znana jest z niestałości,
Brunetka wierniejszą jest w miłości.

»Ars amandi«, sztuka kochania — tak nieprzystępna dla umysłów wielu właścicieli serc, palających miłością, streszcza swą metodę w jednym głównem twierdzeniu:

Błagaj kobietę — a powie nie,
Udaj zimnego — a wpuści cię.

W walce miłosnej zwyciężcą ten, co ucieka.

Gnomologia miłości wkracza wreszcie i w zakres higieny, pocieszając strapionych:

Księżyc i lica ucałowane
Wnet znów są jasne, świeże, rumiane.

Miłość zadaje, lecz i goi rany.

Miłość jest każdej potrawy przyprawą.

Z drugiej znów strony zaprzeczyć się nie da, iż

Nie masz miłości bez goryczy.

Zwłaszcza, jeżeli wspomniemy nieodstępną prawie towarzyszkę miłości, ponurą i złośliwą zazdrość.

Nie masz miłości bez zazdrości.

i vice versa:

Od miłości, zazdrości i trunku,

Daremnie szukać będziesz ratunku.

Kogo chcesz widzieć dziecinnym, tego zrób zazdrośnym.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Uwagi o robotach ręcznych.

I.

Obecna chwila najwłaściwszą jest do wszelkich robót ręcznych, gdyż dnię długie i jasne najwięcej się do nich nadają. — A ponieważ nie tylko w ubraniu ludzi moda jest panującą, ale i w dziedzinę robót wkrada się ta kapryśna pani i tu sobie śmiało rządzi — podnosi jedne, wyrzuca drugie — więc przeszedłszy historję robót znajdziemy to samo, co i w ubraniach, że wszelakie nowości obecne są dawniej już znaną robotą, tylko ulepszoną i na nowo wprowadzoną. — Obecnie zajęły pierwszeństwo wzory i wyroby ruskie, serbskie i bułgarskie — tak w haftach jak i tkaninach — a wszędzie występują jasne barwy; przeważa kolor ponsowy, żółty i zielony. Piękne bo też są te wzory — a wszystkiego taka obfitość, taka różnorodność — jaka gdzie indziej nie da się spotkać. Ozdoby te wschodnie bardzo się nadają tak do ozdobienia sukien dla osób dorosłych — jak i ubrań dla dzieci, fartuszków, ręczników i przykryć na meble. Do takich wyszyć oprócz jedwabiu i bawełny używa się także sznurków srebrnych i złotych, kordonków oraz tasiemeczek z perskim wzorem. Tkaniny, na których te hafty i wyszycia się robią, są lniane — robotą rzadką, a w handlach mamy je pod nazwą: Congrès, Cablé, Hollenderskie, Holbeinowskie i Serbskie.

Na podobnych lecz cienszych tkaninach można robić także firanki, które są bardzo piękne, świadczą o pracowitości gospodyni i ślicznie przyozdabiają mieszkanie. Podam tu opis dwóch rodzajów: pierwsze całe szare z szerokim szlakiem wyciąganym, czyli meżerkowym. Mereżka ta naśladująca koronkę i wstawską, jest trwałą i dziś należy do bardzo modnych robót; drugie takie firanki znowu robią się w ten sposób: pasy niezbyt szerokie z jednej wyż wymienionych tkanin, na nich haft krzyżykowy kolorami zastosowanymi do koloru mebli — te pasy łączą się wstawką z szarych nici i takąż samą ko-

ronkę, a następnie podszywa się szarą materją, żeby haft występował. Do wykonania koronek klockowych i szydełkowych używają się nici „maerame“ i z tych nici roboty są najpiękniejsze na wykończenia pokryć na meble, firanek nawet z pluszów i aksamitów robionych — ten rodzaj koronek jest bardzo trwały, a tą swoją praktyczną wartością nie ulegnie zmianie mody.

W zwykłym porządku nanki robót następuje po robotach drutowych i szydełkowych — siatka — ten rodzaj roboty doszedł teraz nawet do najznakomitszej doskonałości — bo gdy dawniej na pięknie i równo urobionej siatce wywlekało się deseń ścięciem cerowanym, i wydatniało się ten deseń lepiej na cienkiem wiązaniu z nici, to nawet w porównaniu ta robota nie może się mierzyć z obecnem wydoskonaleniem ślicznych robotek na siatce.

Bardzo ładne bywały firanki siatkowe zawlekanie wzorami cerowanymi, również ozdoby do kościelnych obrusów, alb i komż; była to praca mozolna — ale była robiona tylko jednym ścięciem równym. — Na dzisiejszych siatkach bardzo mało używamy tego ścięgu cerowanego, zastąpiły go różne najwyszukańsze ścięgi tworzące wzory najwykwintniejszych giupiur, przy użyciu pajęczków, mereżek itd., przy starannem wykończeniu takiej roboty np. firanki są tak piękne, tak delikatne, że mogą być ozdobą najpiękniejszego salonu. — Wstawki i koronki do bielizny siatkowe i ścięciem giupiurowym podwlekane także są bardzo ładne, trwałe i są robotką, którą można robić na zapas w braku innej roboty — a zawsze się przyda do wykończenia bielizny.

Piękną i trwałą robotą na płótnie cienkiem i grubem, batyście, perkalu, jawie, jucie i wszystkich tkaninach, gdzie nitka łatwo się wyciąga, są mereżki, w zwykłym nazwaniu w dziennikach dla robót zwane „Szlaczki przezroczyste“. — Na wsi u ludu ruskiego jest to niezbędna ozdoba do ich stroju — każda koszula kobieca jest bardzo mereżona i im szersze i wymyślniejsze wzory, tem do większego stroju należy. — Szwaczki ludowe są artystkami w tym względzie, a Ukrainki doprowadziły do takiej różnorodności wzorów, że strojną koszulę u dołu do pół metra mereżają. Ten rodzaj robót jest także bardzo piękny na przykrycia do mebli — bo można na jucie cienkiej mereżką zrobić cały garnitur do salonu.

W tym rodzaju nowym pomysłem jest serweta na stół ogrodowy — takie serwety ulegają bardzo częstemu poplamieniu będąc narażone na deszcz i kurz itd. więc potrzeba je często prać — każda kolorowa uległaby zniszczeniu, więc robi się serwetę z grubego płótna szarego, spaja mereżkami i wykończy szlaki. Można taką serwetę też zrobić całą szaremi nici — lub też kolorowemi bawełnami, które wprzódy mogą być prane bez uszkodzenia.

Roboty krzyżykowe włóczką na kanwie, jucie, ja-

wie i rozmaitych innych materiałach należą do bardzo pięknych robót; ale potrzebują bardzo wielkiej staranności i dokładności, ażeby nie straciły ani na wzorze, ani na świeżości; tu nie można nic zastąpić pół środkiem jeżeli się deseń zmyli, ale musi być całość z wielką uwagą wykończoną. Nie podobna jest wyliczyć wszystkich rodzajów robót, które dadzą się wykończyć włóczką i pelami na kanwie, ale tak, jak jest postępek we wszystkim, tak i w robotach kanwowych, a raczej w wzorach. Dawniej pełno było domów, ludzi i zwierząt, które jednak z pod igły nie bardzo kształtnie i estetycznie wychodziły, bo trudno o równo zaokrąglane linje i cienie, gdzie są kwadraciki lub podłużne ścięgi. Dziś i w tym rodzaju przeważa gust wschodni, i bardzo dużo jest przepięknych wzorów na najrozmaitsze robotki ręczne kanwowe w wschodnim guście.

Dawniej wszelka robota krzyżykowa miała tło zrobione, później już zaczęto haftować na kanwach farbowanych na czarno, brązowo lub szarowo. Teraz już mało jest robót, w których by tła były zahaftowane, bo wszystkie rodzaje nowych wyrobów tkanin, na których się haftuje są już o tyle ładniejsze, że tylko wzór można haftować, a tło zostawia się wolne. Ułatwia to bardzo ten sposób roboty w szybkości wykonania, bo już to co najmoźniejsze i najnudniejsze jest usuniętem. Na tej zmianie rodzaju roboty ucierpiała jednak mocno trwałość tych wyrobów. Bo tam, gdzie było całe tło zaszyte, stawało się trwałem przez to, że się nitki nie usuwały, a teraz, skoro tylko materiał na którym się haftuje, straci swą pierwotną gumę, to z największą łatwością nitki się usuwają i cała robota się psuje. Dlatego też można jeszcze dziś widzieć roboty przed kilkudziesięciu laty haftowane a całe, dzisiejsze zaś ledwie część tego czasu wytrwać będą mogły, i chyba tem pocieszyć się można, że zaledwie część pracy kosztują.

Jeżeli kto chce, ażeby jego robota była trwała, to niechaj się trzyma dawnego sposobu — jeśli zaś ma to być tylko tymczasowe a tanie, to ma na to nowy sposób. Roboty rozpoczęte, których jest bardzo dużo po wszystkich magazynach są wygodne — bo już nic nie trzeba myśleć o dobieraniu kolorów, albo wzorów, ale też za to daleko mniej przyjemną jest taka robota, do której nie przyłożyliśmy nic z naszej myśli, gustu ani twórczości. Robiąc zawsze rozpoczęte roboty bardzo wolno po stępować będziemy w wydoskonaleniu się i wyrabianiu sobie gustu i pomysłowości, bo przy robocie machinalnej myśl nam leniwieje, a że natura ludzka bardzo skłonna do lenistwa, powinno być naszym zadaniem zwalczać tę brzydka wadę.

Justyna Gostyńska.

Panna Aurora.

Obrazek z życia kreolskiego

KAROLA BAISSAC.

(Ciąg dalszy).

Mięło pięć dni, ośm dni; ponieważ pani Camouard nie zawiadomiła mnie, więc postanowiłem sam wiadomości zaciągnąć. Dość długo czekałem w salonie, nareszcie ukazała się pani Camouard.

— A, to pan, kochany panie! Widzisz pan, jestem okropnie zmęczoną. Biedna dziewczyna! Kochana mała chora! Nie uskarża się wcale, robi wszystko, czego się od niej żąda, pije, co się jej daje. Pan wybaczysz, nieprawdaż? Muszę wrócić do niej, gdyż jest samą. Powiem jej, że pan tu byłeś, to jej sprawi przyjemność. A gdybyś pan widział, jaka to gorączka! Biedna, kochana kotka! Obawiam się tylko, aby się z tego nie rozwinął tyfus!

Straciłem apetyt i spałem niespokojnie: Biedna panna Aurora! biedna dziewczyna! biedna, kochana koteczka! — złapałem się przy tem, że powiedziałem »koteczka!«! Czy miałby z tego rozwinąć się tyfus?

Odważnie zaciągnąłem rady doktora Desbleux eo do mego bicia serca i zapytałem się go — do czego miałem najzupełniejsze prawo, będąc nauczycielem panny Aurory — czy stan bratanicy pani Camouard jest niebezpiecznym.

Doktor Desbleux, Fabiusz Desbleux — może to potomek Fabiusza Cunctatora — trzyma się w sztuce lekarskiej metody wyczekiwania. Hm, hm, — odpowiedział, potakując przy tem prawem ramieniem, a przecząc lewem. Umówiłem się z doktorem, że wieczorem znów będę u niego, po zajęciu zapisanych mi kropli Digitaliny i tak bywałem u niego regularnie co dwa dni przez trzy tygodnie. Podczas gdy on obserwował moje serce, wypytywałem się go zawsze o jego pacjentkę, a po upływie trzech tygodni dowiedziałem się, że wkrótce już będę tam mógł znowu wizytę złożyć. Między nami mówiąc, była to przecież rzecz dziwna, że Digitalina skutek swój wywarła, choć cała pozostała w flaszeczce.

Nie była to febra tyfoidalna. Po upływie miesiąca doniosła mi pani Camouard, że kochanej jej bratanicy nie grozi już żadne niebezpieczeństwo, i że czas rekonwalescencji przepędzi na wsi. Gdyby jakiś szczęśliwy przypadek zagnał mnie do »La Bastide«, byłoby jej to bardzo miłym, et caetera, et caetera.

— Tak jakby ja należał do tych ludzi, którzy się spuszczaają na traf szczęśliwy!

W sześć tygodni później rozpoczęły się moje wakacje; wyzdrowienie pewnie już daleko postąpiło.

Pani Camouard wyszła na moje przywitanie, aż na schody. Dziwna to rzecz, jak życie na wsi rozwija zmysł gościnności. Wyciągnęła do mnie obie ręce: »Zostaniesz już pan u nas na śniadanie i obiad, kładę na pana areszt na dni kilka, wiem bowiem, że pan masz teraz wakacje. Zaprowadzą pana natychmiast do pańskiego pawiloniku; pokój gościnny czeka już na dobrych przyjaciół. Za godzinę będziemy śniadali, ale teraz muszę wrócić do domu, więc do widzenia»!

Zaprowadzono mnie do pawilonu, gdzie oczyszczając się z kurzu, zapytywałem się siebie, co za znaczenie ma ten wybuch serdeczności? Ale to przecież nie było przyczyną do kłopotania się?

Wielki dzwon zawołał na śniadanie, a ja skończyłem naturalnie z zaproszenia.

— Panie profesorze, co powiesz pan do mojej chorej?

Teimi słowy przyprowadziła pani Camouard przedemnie piękną, dorosłą, młodą panienkę, dziewczynę o aksamitnych oczach; piękniejszych sam Lord Byron nie potrafiłby opisać.

Jakież to cudowne oczy, pełne łagodnego blasku! Czoło tak czyste i spokojne jak morze w pięknym dniu letnim, a włosy rozburzone? były teraz uczesane w jedwabiste loki, które otaczały twarzyczkę lekko zarumienioną. Trzy miesiące! Niesłychana ta zmiana była dziełem trzech miesięcy!

Szczęściem dla »pana profesora« nie była pani Camouard kobietą, któraby pozwoliła rozmowie spoczywać. Była niezmordowaną, pytała się, odpowiadała sobie sama, traktowała, prosiła i monolog swój prowadziła bez przerwy, pozwalając wskutek tego gościowi oddawać się zupełnie swej zadumie. A gość rozmyślał nad tem, czy w tym pięknym motylku, ani ślad nie pozostał dawniejszej poczwarki. Jakże się zmieniły te małe, białe rączki, które zwykle pod palcami profesora pióro w zamieszaniu opuszczały, a teraz pod wpływem wzroku jego, w zakłopotaniu manewrowały nożem i widelcem. A te świeże usteczka, nieznacznie występujące? Czyż one nie nauczyły się niczego, kiedy czoło nauczyło się wymądrzeć, ręce wybieleć, a twarzyczka rumienić się?

Ledwie śniadanie się ukończyło, odeszła panna Aurora, zostawiając mnie sam na sam ze swoją ciotką.

— Ona jest perłą, kochany mój panie! I pomysleć o tem, że w pierwszym dniu myślała, że ona mi życie zatruje. Jakżesz błędne, jak niepewne

sa pierwsze wrażenia! Dzisiaj nie mogłabym żyć bez niej, własnej mej córki nie mogłabym kochać serdeczniej, i wydam ją tylko za mąż za człowieka który mi przysięgnie, że mi jej nie zabierze. Zresztą, ten pan nie źle na tem wyjdzie; córeczka moja dostaje w posagu dwanaście tysięcy piastrow, a po mojej śmierci — co powinno nastąpić jak najpóźniej — otrzyma jeszcze pięćdziesiąt tysięcy; czyż nie opłaca się to przez kilka lat czekać cierpliwie? Ale wiele wody jeszcze upłynie zanim pomysłimy o zamążpójściu, a spodziewam się, panie profesorze, że do tego czasu pan uczennicę swoją jeszcze wydoskonalisz, ażebyś mógł się nią chlubić.

(Dokończenie nastąpi)

Kroniczka dla kobiet.

— Szkoła malarstwa p. Wiesiołowskiego dla kobiet w Warszawie, będzie wkrótce otwartą po ferjach. Jej kierownik stara się o pozwolenie na wykłady teoretyczne dziejów sztuki, perspektywy itd.

— W Warszawie w zakładzie rękodzielniczym hr. Plater-Zyberkówny dla kobiet, rozoczynają się kursa buchalterji, korespondencji handlowej, tudzież malowania na porcelanie, drzewie i atłasie.

— W Warszawie powstaje szkoła jubilerstwa i zegarmistrzostwa dla kobiet.

— Wkrótce w Berlinie zostanie otwartą akademja medyczna dla kobiet.

— Na wykłady uniwersytetu genewskiego uczęszcza dość liczne grono kobiet, około 50, z których 30 rosjanek i 12 polek. W końcu ubiegłego półroczu przystępowało do egzaminu 8 kobiet: 6 polek, 1 serbka i 1 rosjanka. Z pomiędzy wymienionych studentek trzy złożyły egzaminy ze stopniem celującym (avec une approbation complete): p. Wiktoria Młodziejewska (na wydziale przyrodniczym), oraz pp.: Józefa Krzyżanowska i Wanda Wojnarowska (na wydziale literackim i nauk społecznych). Rodaczki nasze na uniwersytecie genewskim poświęcają się głównie studjom lekarskim, rozpoczynają je jednak zwykle pozyskaniem stopnia „bachelier ès sciences“ na wydziale przyrodniczym. Stopień ten pozwala im zapisać się na stałe słuchaczki medycyny i uwalnia od uprzedniego zapoznania się z łaciną i greczyzną.

— Spadkobiercy ks. de Nassau Siegen, po 80-letnich zabiegach, wydobyli piękny po nim pozostały zabytek, mianowicie namiot, który mu ofiarowały w 1786 r. „pierwsze damy polskie, jako dzieło rąk swoich“. Olbrzym ten składa się z trzech szlaków, mających razem 112 łokci długości, z jedenastu kolumn, ośmiu jakby kartonów (emblematy wojenne i myśliwskie wyobrażających), ośmiu waz etruskich paciorkowej roboty, a wszystko na jedwabnej materji, wyszywane różnobarwnym jedwabiem, złotem, srebrnymi nitkami, paciorkami różnych kształtów i kolorów, z dodatkiem cennych kamieni. Areydzieło owe, przypominające gobeliny, bardzo dobrze zachowane, jest świadectwem na jakim stopniu wysokiego rozkwitu stał u nas kunszt hafciarstwa przed wiekiem.

— Berta Mylstein, współpracowniczka niemal wszystkich pism czeskich beletrystycznych, redaktorka „Zenskè listy“, zmarła w Pradze.

ROCHA LITERACKI ARTYSTYCZNY

O PŁODNOŚCI PISARSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

Bez kwestji, że takie zaparcie się własnego »ja« jest godnem pochwały, nie można jednak wymagać go od poetów. Nawet najwięksi poeci musieli więcej produkować, aniżeli im to do sławy było potrzebnem. Lessing upominał swojego brata Karola, który kilka rzeczy jedne po drugich szybko ogłaszał: »Radzę ci szczerze mniej pisać, to jest mniej drukować, a więcej uczyć się dla siebie samego. Zapewniam cię, że radę tę zastosowałbym sam do siebie chętnie, gdyby stosunki moje pozwalały mi mniej pisać«. W istocie on, który wyrzekł sławne: «Kein Mensch muss müssen», sam był tym, który musiał.

Do rozwiązania pytania z kąd biorą pisarze źródło i siłę twórczości, posłużyć może przytoczenie ciekawego szczegółu z życia sławnego Lope de Vega jednego z najpłodniejszych autorów dramatycznych, jakich zrodziła kula ziemiska.

Szczegół ten czerpię z opowiadania niemieckiego pisarza Augusta Wolffa, który w noweli p. t. »Gwiazda piękności«, opowiada o znakomitym komedjopisarzu rzecz następującą: Lope de Vega będąc już u szczytu swojej sławy, spotkał się, razu pewnego z jednym z poetów, który użalał się przed nim, że pracuje nad jednym i tym samym dramatem długie lata i nie może go ukończyć, gdyż ustawicznie z tego co napisze jest niezadowolonym. Na to odrzekł Lope de Vega, że z nim dzieje się podobnie i to co dotychczas napisał uważa tylko za przygotowane studja i usiłowania napisania tego, co mu przed oczyma stoi i coby pragnął napisać. Gdy poeta wyraził swoje zdziwienie zaprawione ironicznym uśmiechem, Lope odpowiedział mu następujące zdarzenie z swego życia:

W młodości swej był nader łakomym na książki i połykał je formalnie bez wyboru i różnicy. Wuj jego posiadał ogromną bibliotekę, którą trzymał w osobnym pokoju pod zamknięciem. Prośby o dopuszczenie go do tego skarbu były bez-

owocne, młody Lope nie mogąc dokonać swego prośbą, postanowił użyć podstępny i klucz wujowi wykradł. Dostawszy się do skarbnicy chwycił pierwszą książkę z brzegu, otworzył okładkę i przeczytał: »Gwiazda piękności, dramat«. Więcej przeczytać już nie mógł, za plecyma bowiem jego stał wuj, wydarł mu książkę i wyrzucił go za drzwi. W kilka dni później biblioteka znikła z domu i Lope nigdy się o niej już dowiedzieć nie mógł.

Odtąd tajemniczy tytuł książki, której nie dało mu przeczytać, zaprzątnął jego umysł i fantazję. Dzieło to wyobrażał sobie za coś doskonałego, za utwór mistrzowski. Nie mogąc go dostać, myślał o niem wciąż uporczywie. Wpadł na myśl, aby książkę taką napisać, i tak powstała pierwsza sztuka Lopego. Gdy ją skończył i sam odczytał, był przygnębiony. Sztuka nie odpowiadała wcale jego ideałowi i mocno zostawała za nim w tyle. Niedługo nową zrobił próbę i powtarzał ustawicznie z tym samym skutkiem.

Komedje jego przedstawione po wszystkich teatrach budziły podziw, tymczasem sam autor był wiecznie niezadowolonym i dzieła swoje, które mu sławę przyniosły uważał wciąż tylko jako studja do nieurodzonego jeszcze dzieła, które miało do sięgnąć »Gwiazdy piękności«.

Nowelista wspomniany opowiada wreszcie, że Lope de Vega, złożony ostatnią już niemocą, dostał nareszcie egzemplarz owej »Gwiazdy piękności«. Starzec pochwycił książkę z nabożeństwem, oczekując zjawienia się słońca — geniuszu. Niestety. Sztuka była mizerną, robota gorszą od najgorszej, jaką on sam kiedykolwiek napisał.

Chęć zatem stworzenia czegoś większego, aniżeli na to pozwalały jego środki indywidualne, to pragnienie ustawicznej wyższości talentu, było tym bodźcem, tą potrzebą ustawicznego tworzenia i pisanania.

Wszystcy najznakomitsi i najpłodniejsi pisarze pracują bez wytchnienia, bez odpoczynku niemal, gdyż stosunki jakie zachowują z światem służą im więcej do robienia studjów i zbierania wzorów społeczeństwa, aniżeli dla rozrywki. Juliusz Claretie, jeden z najsławniejszych »wielorobów«, jak go nazywa pewien fejetonista paryski, pracuje od rana

do wieczora, skoro się ściemni poświęca kilka godzin wizytom, podczas których robi spostrzeżenia i zapełnia nimi swe notatki.

Półbogi francuskiej literatury nie udzielają się niemal zupełnie, nie mają bowiem na to czasu. Każda chwila, każda minuta jest im drogą i w bardzo kwaśny wprowadza ich humor każdy, bez względu, ktoby to był, kto pracę pisarską ich i witek myśli przerwie. Tenże sam fejletonista francuski opowiada, że Dumas młodszy uważany za najwerniejszego malarza salonów paryskich, powiadają, nie umie na nich się znaleźć i że nie umie się zdobyć na ów «esprit de salon», o którym tyle mówią w «dobrych towarzystwach».

Słynni autorowie setnych krotochwil Meilhac i Halevy są ludźmi wielkiej pracy i robią wrażenie zakonników. O Halevym nie można nawet z pozoru przypuścić, aby ten zarośnięty po same białka człowiek, mógł być autorem tylu do łez pobudzających pomysłów. Jedyłą rozrywką tej nierozłączającej się spółki jest partja szachów. Meilhac jest małomownym i żałuje formalnie słów na gawędę, nie chcąc wysilać konceptu, za który w jego komedjach płacą mu złotem.

Jedni z najpłodniejszych pisarzy tegoczesnych Alfons Daudet i Emil Zola są zagorzałymi domatorami i nienawidzą wizyt. Alfons Daudet zapracowuje się aż do bezsilności. Ztąd pochodzi jego rozdrażnienie nerwów, o którym donosiły w ostatnich czasach dzienniki. Zola zamyka się w swoim mieszkaniu i zerwał prawie ze światem stosunki. Całym urozmaiceniem jego pracowitego życia jest ustronie ciche w Medan, dokąd wyjeżdża na lato. W tem jednak nie folguje sobie wcale i pracuje bez ustanku nad nowem olbrzymiem dziełem: »La terre».

Kraszewski pracował po kilkanaście godzin z rzędu. Równocześnie pracował nad kilku powieściami, których druk albo już się rozpoczął, albo które do druku przygotowywał, oddając je nakładcy, czy pismu w całości. Korespondencje i artykuły którymi zarzucał formalnie, zwłaszcza pisma warszawskie, były mu odpoczynkiem. Czasami wieczorem siadł do fortepianu lub szkicował na kawałku papieru, i to było całym jego wytchnieniem.

Z dawniejszych pisarzy, których dzieła znajdziesz u każdego niemal, kto jaki taki zbiorek książek posiada, najwięcej dla nas interesu przedstawia Walter Scott, owa prawdziwa machina pisarska. Pierwszym jego romanssem był »Wawerley«, którego puścił w świat bezimiennie oczekując, jakie zrobi wrażenie. »Wawerley« podobał się ogromnie i Walter Scot począł tworzyć romanse jedne po drugich z pilnością dziennego zarobnika. Scott znał

wybornie społeczeństwo i wyrzekł sam: »Celem moim jest, dostarczać publiczności to, co się jej podoba«. Literaturę też traktował, jak kupiectwo. Pisał bezustannie, a roczny dochód z tej fabryki przynosił mu 15000 funtów szterlingów, (150.000 złr. w. a.). Ta struga złota jednak ciągle płynąca, opętała jego umysł. Zapragnął stanąć na czele wszystkich baronetów angielskich. Kupował ziemię, pole po polu, budował pałace i wdał się w spekulacje handlowe. Operacje te pozostawiały mu bardzo niewiele czasu do pisania, lecz kilka godzin poświęcał pracy autorskiej mimoto codziennie. W tem w r. 1826. ujrzał się bankrutem. Domy handlowe Ballantyne i Constable, których był spółnikiem, upadły, zostawiając mu w udziale 117000 funtów szterlingów długu. Teraz dopiero rzucił się Scott do pisania z gorączką niemal chorobliwą. Teraz musiał pisać, i pisał też nie wypuszczając pióra z ręki. Była jaka legenda, opowieść była mu wystarczającą do stworzenia ogromnego romansu. Wkrótce popłacił długi i zebrał majątek ponownie. Spełnił swoje zadanie, bo milionom dostarczał pożywienia dla podsyceń fantazji. Cała też to jego zasługa. Co prawda, Scott był niezrównanym bajerzem, po za tem jednak szukać w nim czegoś więcej, myśli głębszej, niepodobna. Romanse jego są ogromne, nie budują jednak, ani ducha nie podnoszą. Można dwieście tomów jego dzieł przeczytać i nie wyciągnąć ani jednej prawie sentencji o myśli głębszej. Pisał podobnie jak kobieta robi pończochy, jak młynarz przesypuje mąkę z worka do worka.

St. Błotnicki.

(Dokończenie nastąpi.)

Ze stołu redakcyjnego.

* Leży przed nami książeczka z tytułem: *Klin „Moi kochani rodacy“*. Jestto broszurka obejmująca 103 stronnic w 8-ce. Już sama dedykacja umieszczona na pierwszej stronnicy uderza oryginalnością pomysłu, ale zarazem i goryczą i pesymizmem. Dedykacja ta brzmi dosłownie: „Ziomkom swoim w XXV rocznicę swojego pisarskiego... zawodu poświęca autor“. Czem jest ta broszurka? Nie jest ona szkicem, nie jest i rozprawą filozoficzną ani socjologiczną, nie jest przyczynkiem do historii, — a z wszystkiego tego jest w niej potroszę.

Sympatyczny skąd inąd autor — znany ze swych „Szkiców“ — zamierza pisać charakterystykę narodu

polskiego, ale jak lekarz, który operuje na chorem ciele, nie zważa na to, że zadaje ból temu ciału, a operuje dalej gwoli jego uzdrowienia, tak i autor — wedle swego twierdzenia celem wyleczenia swego narodu stawia mu przed oczy jego wady. A należy przyznać, że p. Klin nie mało tych wad u nas odnalazł.

Przejrzyjmy spis rzeczy: zmysłowość, poządlliwość, zbytek, nieekonomiczność, zazdrość, drażliwość, popędliwość, gniewliwość, samowola, lenistwo, nieuctwo, przewaga wyobraźni, nieściskość rozumowania, pochopność sądu, brak krytycyzmu, lekkomyślność, brak samodzielności, próżność, niedbalstwo i last but not least bierność, — oto szereg wad, które nam p. Klin wszystkim w czambuł zarzuca.

Rzecz pisana z niesłychaną goryczą i ze skrajnym pesymizmem, dowody na twierdzenia autora nielitościwie naciągane; oto wrażenie jakie czytelnik odbiera po przeczytaniu broszurki. Zarozumiałość i pretensjonalność walczą o lepsze z nieznaną rzeczą i brakiem krytycznej metody.

Niesmak, jaki sprawia to dziełko, staje się tem większym, gdy się zważy, że autor zabiera się do rzeczy z nielada pretensjonalnością; zna on trudność podjętego zadania, pojmuje, że nie każdy może się odważyć na pisanie charakterystyki narodu współczesnego, — gdyż sam pisze we wstępie do swej pracy: „nie lada potrzeba mistrza-psychologa i myśliciela, do szerokich bardzo a jeszcze głębszych horyzontów dla myśli przywykłego“, — a jednak nie waha się p. Klin porwać — żeby się delikatnie wyrazić — z motyką na słońce.

Cała książeczka naszpikowana jest cytatai z Starowolskiego, Modrzewskiego, Kromera, Opalińskiego, Zamoyskiego i innych które wyrwane z całości po wielkiej części w przekręconem są przedstawione znaczeniu.

Na udowodnienie tego naszego twierdzenia niech posłuży np. ustęp wyjęty z rozdziału o zmysłowości, a mianowicie ustęp o opilstwie:

„Piją wprawdzie i inne narody i dobrze piją, piją i najwyżej w cywilizacji postawione równie jak i my, ale ta różnica zachodzi między tem powszechnem piciem narodów północnych, że jedne z nich piją w stosunku swojej zamożności, a drugie bez względu na nią powodują swoją ruinę materialną. Do tych drugich my właśnie należemy. Tenże Starowolski powiada, że „u nas dzieci jeszcze małe pić poczynają się uczyć, pierwej niżeli pacierza, od rodziców swoich“ — „a ze złego przykładu większych panów szlachta drobniejsza i pospólstwo mają sobie za wielką sromotę nie upić się, kiedy święto przyjdzie, albo kiedy przyjaciel w dom się jaki przytrafi“; że zmuszano gwałtem chłopów pić i płacić podłe pivo (Reform. ob. pol. r. XV.), i że „ktoby zebrał sumę długów, które między ludźmi znajdują się, pewnieby za to wszystka Polska nie stała“ — a to co Kromer przed trzema wiekami pisał w swojej „Polonji“, w zupełności i dzisiaj można jeszcze powtórzyć: *Eoque provecta est*

haec licentia ut quod profestis diebus partum est, festo die potanto fere prodigatur. Francuzi chcąc określić kogoś w skutek upojenia zmysłów pozbawionego, powiadają: *wre comme un Polonais...* W tem leży całe zło nasze. Ilość jednostek tracących mienie swoje przez pijaństwo stosunkowo jest u nas licniejszą niż u innych narodów, i ono-to dopokąd będzie istnieć, nie dozwoli nam ekonomicznie stanąć z nimi na równi.

A oto i mam przejście do drugiej skłonności — do zbytku. Ten sam Kromer...

Dziełko swe kończy autor życzeniem: „*Quod officium nostrum, utinam eo animo accipiatur a bonis viris, quo a nobis praestatur*“, my zaś życzymy autorowi w jego własnym interesie, by tę jego pracę jak najmniej ludzi czytało, i by ona ku pożytkowi autora jak najprędzej poszła w zapomnienie.

Z WYSTAWY

zjednoczonych towarzystw sztuk pięknych we Lwowie.

VI.

Wystawa sztuki polskiej w Krakowie połączyła pierwszorządne dzieła malarstwa i rzeźby polskiej w okazałych salach Sukiennic.

Wystawie lwowskiej mało co przybyło w ostatnich czasach, a perły jej popłynęły strumieniem mknącym do grodu podwawelskiego. Jednak nie jest ona pustą; wzbogaciła się o dziesięć może płócien — co prawda, nie pierwszorządnej wartości, ale nowych. Zanim przystąpimy do oceny nabytków nowych, chcielibyśmy pokrótce opisać to, co jeszcze godnem było widzenia z letniego jej inwentarza, a o czem nie mielibyśmy jeszcze sposobności wspomnieć w łamach »Ruchu«.

W rzędzie prac tych pierwsze zajmują miejsce dwa przesłiczne płótna Wojciecha Gersona. »Dziwczę z gołąbkim« jest obrazem pełnym poezji, światła i woni. Na tle błękitnego nieba rysuje się postać młodziuchnej dziewicy, złotowłosej, o różowej cerze; na niej szata śnieżna atlasowa. Ujmująca ta postać opiera się o kamienną balustradę, umieszczoną wśród parku i pieści się z gołąbkim, który usiadł jej na ramieniu. Jasne tony obrazu tego mają w sobie coś wiosennego, co dziwnie potęguje ujmujące wrażenie całości.

»Szlachcianka« tegoż malarza, wzorująca tyle używany w nowszem malarstwie typ okazałej kobiety w stroju średniowiecznym, celuje przepyszny inkratem i sumienną techniką w szczegółach stroju. Rysy nie wyrażają indywidualności zajmu-

jącej, regularność ich nie ma w sobie powabu; nie tworzy nawet piękna wybitniejszego.

Dziwnie natomiast porusza obraz Wacława Szymanowskiego »Perswazje«, ujmujący nas jakąś bezpośredniością życia i uczucia. We wnętrzu niskiej chatki ukraińskiej, widzimy kobietę wiejską siedzącą u stołu z płótnem, które obrebia; po drugiej stronie stołu mężczyznę o twarzy pospolitej, z czapką na głowie. Mężczyzna ten tłumaczy coś kobiecie: zapewne idzie o stosunki rodzinne, które głęboko mówiących poruszają. Obraz ten przypomina tak żywo sceny widziane często w życiu, że rozumiemy go, aczkolwiek treści jego właściwie domyślać się należy.

Do lepszych obrazów należy Jaroszyńskiego »Spłoszone stado«. Drgające muszkuły strwożonych koni, które w szalonym pędzie przeemykają przez dziką okolicę u brzegu lasu, trwoga rozdymająca nozdrza i pałająca w oku zwierząt oddane są wprawną ręką, świadomie i pewnie zmierzającą do efektu.

Roman Kochanowski wystawił dwa małe, ujmujące kajobrazy: »Jesienią« i »Na pastwisku«. W obu wybornie pochwycony jest mleczny, zaróżawiony lekko ton niebios, które szerokim sklepieniem rozwierają się ponad wolnym horyzontem wiejskim. »Na pastwisku« rozsiane są miniaturowe figury bydła w nieładzie i z ową rozmaitością ruchów, która cechuje zazwyczaj trzody swobodnie się rozchodzące. Na drugim obrazku znów oddane jest zielone pole kapuściane; rzędy drobniutkich główek kapusty oddane są z taką wiernością, że zdaje się, iż patrzymy na prawdziwe pole przez szkło zdrabniające.

R o m e r a »Kulig« nie jest oryginalnie pomysły — ale oryginalnie oświetlony. W przestronnej okolicy wiejskiej, pędzą sanki ubrane futrem, w nich kobiety w strojach przykrytych zar. tkami asystują im panowie konno. Niebo płonie czerwona w jakąś łuną, ziemia zaś pokryta śniegiem, drzewa i dalszy horyzont rozplwają się w niezrozumiałym jakimś, jednolitym toni ciemnobłękitnym, niebieskim prawie. Domyślamy się, że artysta zamierzał oddać późną porę nocną, zbliżoną już do poranku, zlanie się pomroków nocnych ze słabym blaskiem powstającej zorzy — ale oświetlenie to jest tak nienaturalnem, że znajdziemy je chyba na monochromowych malowidłach porcelanowych, które zapuszczają niebo, ziemię, drzewa i postacie ludzkie jednolitym kolorem niebieskim.

Z pomiędzy rzeźb uderzył nas biust terracotowy L a n g m a n a »Pachciarz«. Ów sam artysta, który wystawił tak niefortunnie pomysły białe »Bukiet kwiatów«, wyrażający prawie pa-

roksyzm romantyzmu, stał się nagle — realistą, naturalistą niemal. »Pachciarz« jego, to głowa żyda, przypominająca bardziej wyrobnika żydowskiego aniżeli pachciarza wiejskiego. Jestto przeciętna twarz spracowanego mężczyzny o typie żydowskim, w ustach trzymająca fajkę. Głowę pokrywa czapka licha, na piersi zwieszony fartuch gruby. Biust ten jest niezawodnie wiernie z życia wzięty; ma on wartość portretu — zalety właściwe ludziom żywym, ale nie te, które są właściwymi sztuce.

Honorowe miejsce dostało się wreszcie zasługującemu na nie od dawna projektowi K u r z a w y »Wawel i Wisła«. Gipsowy ten model należy do najpiękniejszych utworów rzeźby polskiej, jakie widzieliśmy w ciągu lat ostatnich; nadaje on się wybornie do monumentalnego wykonania i smutnie to świadczy o warunkach, wzór których sztuka polska się rozwija, jeżeli dotychczas model ten nie znalazł nabywcę, któryby umożliwił artyście stworzenie dzieła o pierwszorzędnej wartości.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

(Przyjaciel domowy. — Pan Geldhab. — Hrabina Sara).

Młody, miły, wesoły i przystojny, a co najważniejsza, majątny pan Celimare zamierza wstąpić w związki małżeńskie z równie młodą i miłą panną Colombot. Wszystko składa się po myśli państwa młodych, tylko przyjaciele Celimare'a panowie Vernouillet i Bocardon, mężowie jego kochanek, przez swe niesłychane natręctwo zakłócają spokój młodego stadła. Celimare używa najrozmaitszych sposobów celem pozbycia się nieproszonych przyjaciół, co mu się w końcu szczęśliwie udaje.

Na tej ubogiej treści potrafil autorowie wedle najnowszej recepty francuskich spółek zbudować mnóstwo komicznych sytuacji, które w połączeniu ze zręcznie wplecionymi epizodami sprawiają, że większość widzów wychodzi z teatru z tem samym zdaniem, jakim ocenił »Przyjaciela domowego« mój sąsiad na przedstawieniu tegoż: „idealnie głupie, ale bardzo zabawne“.

Bo też rzeczywiście spędziliśmy ów wieczór w ale wesoło, mniej może dzięki autorom, niż raczej dzięki wybornej grze pp. Frenkla (Vernouillet) i Wojdałowicza (Bocardon), którzy z właściwym sobie humorem stworzyli typy mężów, którzy afekta przyjaciela domowego skierowane ku ich żonom, odnoszą do siebie, silnie też komiczne wrażenie robi romantyczny wyrzut Vernouilleta wystosowany do Celimare'a: „Ty mnie już nie kochasz“.

Czy potrzeba dodać, że p. Kwieciński był niezrównanie lekkim i eleganckim Celimarem? Panna Pysznik

(żona Cellinara) i p. Zboński (jego teść) niezłe wywią-
zali się ze swych ról.

Dyrekcja teatru po kilkunastoletniej przerwie wy-
stawiła znowu komedię Fredry, „Pan Geldhab“. Okolicz-
ność, że p. Frenkiel trudną tytułową rolę grał po raz
pierwszy nakazywałaby właściwie pewną rezerwę i pobla-
żliwość przy jej ocenie, jednakowoż niepospolity talent p.
Frenkla upoważnia mnie mimo to do szczerości i do bez-
względnego oceniania gry jego.

Szarża, zbyt nie podkreślanie poszczególnych efektów
i niewolnicze naśladownictwo Żółkowskiego, oto wady,
które miejscami rażąco występowały w grze artysty. Po-
wtarzam, że wady te tylko miejscami dały się uczuć, a
zresztą zaś rola była sumiennie przestudjowaną i dobrze
oddaną.

P. Zboński (major) w roli polskiego żołnierza był
w swoim żywiole i odegrał rolę tę tak, że jej chyba le-
piej grać nie można. P. Kwiecińska (Flora) i pp. Kwie-
ciński (książe) i Walewski (Lisiewicz) dostrajali się wy-
bornie do całości. P. Hierowski (Lubomir) grał jak
zwykle.

Wszystkim artystom biorącym udział w tem przed-
stawieniu muszę zarzucić, że wiersz bardzo często utykał
tak, że słyszeliśmy wiersze dziesięcio-, jedenasto- i dwu-
nasto zgłoskowe. Przypisuję to jedynie brakowi ćwiczenia,
gdyż nie należy zapomnieć, że na naszej scenie zaledwie
raz na kilka lat bywa grywaną rymowana komedia
Fredry.

Najlepszy dramaturg między powieściopisarzami, a
najlepszy powieściopisarz między dramaturgami, Jerzy
Ohnet, uraczył nas sceniczną przeróbką swej powieści „La
Comtesse Sarah“. Treści sztuki znanej bezwątpienia wszy-
stkim czytelnikom bądźto z przetłumaczonej już powieści
bądźto z obszernych sprawozdań dzienników, nie będę na
tem miejscu powtarzał.

I w tym nowym dramacie, jak we wszystkich
swych dawniejszych, Ohnet działa na widza głównie efe-
ktami scenicznymi, zużyłymi już i utartymi. Nie masz
tam ani jednej sytuacji, ani jednego efektu, któryby nie
przypominał innych dramatów tego samego lub innego
autora. Charaktery po części szablonowe, po części nie-
prawdopodobne, a wszystkie dość niedbale i niewykończe-
nie kreślone, słowem jest to sztuka dzieląca wszystkie
wady nowego dramatu francuskiego, sztuka, która może
się podobać jedynie tym, którym wystarczy naprężenie
ciekawości i jakie takie podrażnienie nerwów.

Co do przedstawienia „Hrabiny Sary“ na naszej
scenie, muszę przedewszystkiem dyrekcji przyznać dwie
wielkie zasługi. Po pierwsze mise en scène dramatu była
znakomitą. Wystawa była równie kosztowna jak gusta-
wna, i niczego, czem sztuka reżyserska rozporządza, nie
szczędzono, by zapewnić dramatowi powodzenie.

Za drugą zasługę poczytujemy dyrekcji oddanie
roli tytułowej pani Żelazowskiej, która z pierwszej tej

próby ogniowej wyszła zwycięsko w całym tego słowa
znaczeniu. Poznaliśmy przy tej sposobności niepospolity
talent dramatyczny i spodziewamy się, że reżyserja po
tym pierwszym tryumfie nie pozwoli temu talentowi leżeć
odłogiem, lecz da mu możność nabycia tego, czego mu
jeszcze brak tj. ćwiczenia i rutyny.

Znakomitym Sevérakiem był p. Woleński, a i Frou-
ssart pana Kwiecińskiego i generał p. Zboński musieli
zadowolić najwybredniejszego smakosza.

— i —

Salon paryski.

(Ciąg dalszy).

Obraz p. Vigga Johansen p. t. „Chez moi“
prezentuje się egzotycznie lecz poważnie. Błogosławić
należy liberalizm rozporządzenia, otwierającego podwoje
Salonu dla obcych artystów. Ekspozycje swojskie zyskują
tylko przy takiej odmianie, a krytyk ciekawy i żądny
nauki w dziełach zagranicznych znajdzie informacje
o jakości i właściwościach ideału po za granicami swego
kraju. P. Johansen jest Duńczykiem a obraz jego wzięty
z królewskiej galerji w Kopenhadze nader rzadko przez
obcych zwiedzanej. Obraz ten jest cokolwiek cenny, ale
wcale znaczny i cenny. Jest to wnętrze salonu lub ka-
binetu do pracy, światło rzuca liczne białe punkty na
tło cieniste i oświeca twarze postaci zajętych rozmową.
Te fizjonomie oświetlone w pośród otaczającego je cieniu,
są pełne życia i przypominają owe postacie, które Hon-
thorst grupuje w swych nocnych scenach oświetlając je
jedną tylko pochodnią. Są to portrety znajome i żyjące
i ktokolwiekby w Kopenhadze obeenym był chociaż na
jednym wieczorku, poznałby je niezawodnie. Wszystkie
te głowy mają bardzo wyraźny typ skandynawski. Obraz
p. Johansen łączy z zaletami czysto malowniczej natury
urok pouczający studjum etnograficznego.

Niektórzy artyści w poszukiwaniu za charaktery-
stycznością posuwają się aż do granic komizmu. Tę
śmiałość posiada np. p. Brispot, który w swym obrazie
„Surpris par l'orage“ kreśli z wesołą swobodą niepowo-
dzenie wiejskiego pochodu weselnego, którego uczestnicy
bronią i chronią się wedle możności przed strumieniami
letniego deszczu. Obraz ten nie jest arcydziełem i nie
zasługuje na pomieszczenie w Salonie, lecz oddaje wiernie
złośliwość i srogość życia realnego i wprowadza do Salonu
ton zabawny.

Lecz manewrowanie żywiołem komicznym jest dość
trudne i nie wolno przekroczyć pewnej granicy. Z obawą
zapytujemy się czy p. Elysée Bourde, któremu ad-
ministracja udzieliła w przeszłym roku stypendjum
w celu podróży, potrafi zatrzymać się na pochyłości, na
którą wszedł, a która zaprowadzić go może do brzydkiej

karykatury. Nowy obraz jego: „Dzień wyborów w Saint-Benoit de l'Ain“, ma w sobie coś pod tym względem zagrażającego. Autor skorzystał z ekskursji po zagranicznych muzeach, rozszerzył swój styl i zdaje się dziś być pewnym swego instrumentu, niechaj jednakże nie zapomina, że w poszukiwaniach charakterów i w akcentowaniu typów powinien zachować należytą miarę. Wyborey więcej nie odznaczają się co prawda idealną pięknnością, to jednakże nie uprawnia jeszcze malarza do karykaturowania wyborów w ogólności.

P. Józef Bail, który dotychczas dostarczał tylko obrazów z natury martwej, w tym roku po raz pierwszy spróbował swych sił na żywej postaci. Jego „Kuchcik“ jest wysmienity; chłopak, już prawie wyrostek siedzi w kuchni i z całą energią i zapałem czyści miedziany kociołek. Pod jego zręcznymi rękami miedź zamienia się w złoto. Wokoło niego, w nieporządku umiejętnie zaaranżowanym ugrupowane są wszelkie przybory sztuki kulinarnej: polerowany metal błyszczy w półcieniu i każda rzecz z osobna tchnie życiem indywidualnem. Biały fartuch małego kuchcika i inkarnacje względnie jaśniejsze odgrywają wielką rolę na tym obrazie, na którym przeważa koloratura brunatna à la Courbet. Wykonanie jest wszędzie odważne i ożywione. P. Józef Bail lepiej niż niejeden rozumie się na malarstwie kuchni i na kuchni malarskiej.

P. Raffaeli długi czas szukał swego ideału w prochu ulicznym. Z wielką starannością reprodukował pijaków przed podrzędnymi szynkami, poczerniałych wyrobników, uliczników i żebraków wyciągniętych na szarym bruku ulicznym. Tą razą przestąpił progi mieszczkańskiego domu. „Piękny poranek“ jest to wierny i starannie wykonany portret obszernego łoża, na którym spoczywa leniwie młoda śpiąca kobieta. Zawinięta w kołdrę przedłuża sen rozpoczęty, gorąco i spokój sprawiają jej uczucie słodkiego zadowolenia i jakkolwiek obok niej znalazłoby się jeszcze sporo miejsca dla gościa, widać że nie żałuje jego nieobecności. Na tle tego łoża niezupełnie zajętego, tych godzin straconych w samotności, które obraz p. Raffaelego widzowi na myśl nasuwa, poeta miłośny z 18. wieku zaimprovizowałby czterowiersz pełen pikanterij. Lecz pocóż się trudzić czytaniem między wierszami, jeżeli malarz nie miał innego zamiaru, jak tylko stworzyć dobre malowidło, z którym metafizyka nie ma nic wcale do czynienia. Ta kobieta śpiąca, ciepła i spocona jest zupełnie bezużyteczna, jakkolwiek pulsuje w niej życie; wypełnia tylko rolę umiejętnie zabarwionej plamy występującej na tle bladawem; nie należy jej przypisywać innej funkcji socjalnej, nie potrzeba wymagać od tego obrazu ani intencji komicznej ani sentymentalności.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika literacka i artystyczna.

Literatura.

— Powieściopisarz Rogosz przystępuje do wydawnictwa tygodnika „Kwiaty“ we Lwowie. Pismo ma być poświęcone prawie wyłącznie beletryście wyborowej.

— Nakładem Macierzy lwowskiej wyszły „Pogadanki o powszechnym chlebie p. Alfreda Szczepańskiego.

— Powieść Wilczyńskiego „Pociecha rodziny“ ukazała się w przekładzie czeskim.

— Uniwersytecki senat krakowski wydał na pamiątkę otwarcia Collegium novum „Kronikę uniwersytetu jagiellońskiego“. Zawiera ona obraz stanu obecnego wszechnicy, dopełniony wiadomością o rektorach od czasów najdawniejszych

— Wyszedł zeszyt I. tomu drugiego „Prac filologicznych“, wydawanych staraniem J. Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego, L. Malinowskiego.

— W „Kłosach“ rozpoczął się druk ciekawego zabytku literackiego t. j. romansu Słowackiego „Król Ladawy“, napisanego przez poetę w latach młodzieńczych po francuzku. Przekładu dokonał z rękopismu p. Amborski.

— Dwudziestopięcioletnią rocznicę zgonu Syrokomli uczcił „Tyg. Ilustr.“. Mamy tu portret „Dęboroga“, wiązanek rysunków, przedstawiających miejscowości, w których mieszkał poeta, wspomnienie ciepło skreślone przez p. W. Korytyńskiego, nieznany dotąd przekład berangerowskiej piosnki „Stara odzież — stare galony“, dokonanej przez Syrokomlę, początek obszernego studjum o pismach poety, skreślonego przez p. Felicjana Suryua.

— Znany tłumacz powieści Kraszewskiego p. Juljus Meixner przełożył na język niemiecki dwie sztuki Bałuckiego, mianowicie: „Byle wyżej“ (Jagd nach dem Glücke) i „Krewniaków“ (Die Heuschrecken) jakoteż i powieść jego „Siostrzenica księdza proboszcza“, która ma być drukowaną w odcinku wiedeńskiego „Tagblattu“.

— „Stary sługa“ Kraszewskiego wyszedł z druku w przekładzie serbskim.

— Posąg Voltaire'a odsłonięty został uroczystie w St.-Claude.

— Wiktoryn Sardou napisał nowy dramat „Tosca“, którego rola tytułowa znowu napisaną jest dla Sary Bernhard. Tosca jest to włoska śpiewaczka, żyjąca na początku tego stulecia. Sztuka odgrywa się w Rzymie, wkrótce po bitwie pod Marengo i ma trzy wielkie role, a zresztą same nieznaczne partje. Dramat wystawiony będzie już w listopadzie w teatr Porte St. Martin.

— Międzynarodowy kongres literacki odbędzie się 8—10 października w Madrycie.

* * *

Teatr i muzyka.

— Teatr ruski Biberowicza i Hryniewieckiego bawiący obecnie w Stanisławowie, przybędzie do Lwowa dnia 15. października, i urządzi jak corocznie szereg przedstawień.

— Koncert na pomnik Królikowskiego odbył się dnia 18 września w Warszawie przy współudziale Mierzwińskiego, który odśpiewał „Noela“ Adama, arję z „Otella“, „Sycyljanek“ i nadprogramowo dorzucił „Szumią jodły“, które musiał powtórzyć. Sympatycznego gościa zarzucono wieńcami. Na tymże koncercie p. Kotarbiński wygłosił „Farysa“, a pani Radziewiczowa Asnyka wiersz „O sztuce“. Dochód ma być bardzo znaczny.

— Alhambra wystawiła melodramat, zatytułowany „Szulamis“, a będący przekładem żargonowego oryginału Goldfadena. Owa „Szulamis“ jest właściwie operetką, osnutą na legendzie hebrajskiej, nie mającej jednakże nic wspólnego z Salomonem. Łatwowierność niewieścia i niewiara mężczyzny, — oto główny wątek tej produkcji, która w lichem przedstawieniu nawet zrozumiała być nie mogła.

— Największem, a zupełnie zasłużonem powodzeniem w Warszawie cieszy się grana w teatrze Nowym operetka Sullivana „Mikado“, której tekst przełożył J. Kleczyński, a muzykę instrumentowali pp. Rożalski i Noskowski. Dyrekcja wysłała pp. Morozowicza i Różalskiego do Pragi, aby widzieli wykonanie sztuki przez trupę wędrowną angielską, nie szczędziła kosztów na nowe dekoracje i bardzo ładne kostjony. Nietylko treść, ale i muzyka operetki istotnie może zająć nie tylko słuchaczy zwykłych, ale i znawców. Dowcipna, melodyjna w szlachetnym stylu, pełna oryginalnych pomysłów i wyskoków humoru w dobrym guście. Jestto jednem słowem igraszka świetna, napisana z talentem, wolna od błazeństw i plugawstw. Wykonanie jej mogło zadowolnić najwybredniejsze gusty, a pod względem malowniczości układu grup i scenicznego ruchu, było rzeczą nową i nieznaną.

— Z dniem 12 września, zamknął się sezon teatrów ogródkowych, które też tego dnia zakończyły swą niefortunną kampanję widowiskami pożegnalnymi. Wogóle „walka o byt“ na bruku warszawskim wypadła dla nich pomyślnie. Trzeba też im acz z przykrością, przyznać, że stanęły po niej lekkomyślnie, bez należytego rynsztunku. Ani personelem, ani repertuarem nie potrafiły zalecić się tak, aby w końcu tryumfować.

— Znany z debiutów na scenie warszawskiej tenor, p. Bandrowski, śpiewa obecnie partje operowe w Kolonji.

— W Mińsku gub. wystawioną została po raz pierwszy „Halka“ Moniuszki z powodzeniem.

— Marcelina Kochańska wróciła do Drezna, skąd pojedzie do Berlina na sześć występów od 10. do 30. stycznia. W Wiedniu wystąpi artystka przed Nowym rokiem w operze nadwornej w „Lakme“, które będzie drugą nowością repertoaru jesiennego.

Sztuki plastyczne.

— Dokładny przegląd krytyczny pierwszej ogólnej wystawy sztuki polskiej, napisany przez kilku artystów-malarzy i rzeźbiarzy pod redakcją Stanisława Tomkiewicza, wyszedł przed kilku dniami w Krakowie. W krytyce tej poprzedzonej wstępem Wojciecha Gersona, znajdujemy uwagi ogólne pióra redaktora, niepozbawione w względach słuszności i trafności zapatrywań. Nie możemy jednak się zgodzić na poświęcenia się pp. artystów „zmuszonych tymczasem dawać podstawę do poważnej krytyki sztuk pięknych“. Podstawę do tej dali już dawno inni i sądzimy, że młodzi autorowie zyskaliby więcej, obracając czas użyty na napisanie owego „przeglądu“ na studia własne zawodowe. Sądy artyści o artyście rzadko bardzo wnoszą się ponad pendzel i farbę i nie można od nich żądać koniecznej w tych razach bezstronności i objęcia całości okiem estetyka, nie mówiąc już o podaniu krytyki w formie literackiej. W wspomnianym przeglądzie spotykamy bardzo też wiele grzechów przeciwko stylowi, nie mówiąc już o tego rodzaju zwrotach jak: artysta ten zastąpiony jest na wystawie...“ lub tego rodzaju wytłómaczenie czytającemu utworu jak np. „Kobieta trzyma założone ręce i ze smutkiem odwraca głowę od grobu, lub patrzy w jego stronę“ (dosłownie). Podobnych zwrotów moglibyśmy zacytować całemi szpaltami.

Mimo, że redakcja zapowiedziała bezstronność i bezwzględność, bardzo często nią grzeszy. Najlepiej jeszcze pisane są oceny przez p. Seweryna Bieszczada. Reszta krytyk więcej niż słaba pod każdym względem.

Z dołączonego do krytyki tej spisu artystów, którzy w wystawie udziału nie wzięli, dowiadujemy się, że powstrzymało się ich nie mniej jak 180! Pomiędzy tymi są nazwiska malarzy i rzeźbiarzy znakomitych.

St. B.

— Znany malarz portretów pastelowych p. Mieczysław Reyzner w powrocie z podróży po Włoszech i Szwajcarii, zabawi przez kilka tygodni we Lwowie. Jak się dowiadujemy, wzbogacił p. Reyzner w tej podróży swą tekę mnóstwem nowych a pięknych motywów i szkiców.

— Niemiecki malarz Seitz wykończył już wielki obraz na ścianie watykańskiej sali kandelabrow, przedstawiający doktrynę św. Tomasza z Aquinu.

* * *

Zmarli

— Wincenty Chełmiński, nowelista i poeta, w Wilnie. Brał czynny udział w działalności wydawniczej Orzeszkowej. Był współpracownikiem „Koleów“, w „Wędrowcu“ drukował nowele. Ostatnio wyszedł zbiorek jego prac beletrystycznych p. t. „Z życia“.

— Gabriel Rożniecki jeden ze znanych kompozytorów polskich, zmarł w Warszawie w wieku lat 72. Zostawił po sobie liczne kompozycje muzyczne, pomiędzy którymi znajdują się: opera „Oranżyci“ i oratorium „Stabat Mater“.

— Rudolf Pokorný utalentowany poeta czeski, zmarł dnia 19. września w Libochowicach w Czechach, w 34-ym roku życia.

— Fryderyk Teodor Vischer, znakomity estetyk i poeta, zmarł 15. września w nocy w Gmunden, licząc lat 80. Należał on do szkoły Hegla i wydał pomnikowe dzieło „Aesthetik oder Wissenschaft des Schönen“. Oprócz tego zyskał sobie uznanie mniejszemi pracami, a zwłaszcza recenzjami p. t. „Kritische Gänge“. Następnie wydał satyrę II. części „Fausta“ Goethego, p. t. „Faust, der Tragödie III. Theil“.

— Tomasz Lange, duński nowelista, zmarł w Lingby.

— Caracciolo (Ludwik) znany i ceniony kompozytor pieśni, umarł w Londynie w wieku lat 40.

ZADANIA.

II. Łamigłówa.

a, ba, cet, cza, dła, drób, jo, ka, ki, o, nam, ruk,
siej, tę, wi.

Oto mała łamigłówa
Same łatwe znane słówka
Jest ich ośm a wice nie wiele
Rozwiążcie zatem śmieie.
Ja wam nawet wytłómaczę
Co tu które słowo znaczy.
Pierwsze taką są rośliną,
Co z smukłości wszędzie słyną.
Drugie jest królestwem małym
O klimacie ciepłym stałym,
Trzecie ptakiem, klejem czwarte.
Liche siódme nic nie warte.
Piąte łukiem, płynem szóste,
Ósme dobre, gdy jest tuste.
Całość Panie i Panowie.
Bardzo znane jest przysłowie.

II. Zadanie konikowe.

po	sy	wu	za	bla	roz	chwy	się
sil	i	też	ta	reż	sie	sku	ni
nie	zarta	-o	zno	bu	od	mia	ta
ki	na	ki	na	trze	i	bro	o
roz	wiel	ble	rzu	do	dzo	ce	sto
wy	ję	stra	wal	dnie	jen	reża	na
ka	wa	ca	nej	ta	słem	od	słoi
mdle	wrza	i	szli	wo	je	spar	ha

Rozwiązanie zadań z XVII. zeszytu.

Zadanie szachowe.

- | | |
|-------------------|--------------|
| Białe: | Czarne: |
| 1. a 5 — d 5 | e 4 bije f 4 |
| 2. e 2 — d 3 | f 4 bije f 3 |
| 3. d 5 — f 5 mat. | |

Łamigłówka.

Rabelais
Odyńca
Daudet
Onidy
Rodoć (wspak).

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Tyrcha Basznia, Ar-gasińska Stanisławów, Towarzystwo kasynowe Bochnia, Ostrowski Lwów, Leitner Lwów, Lehmann Wyzńica.

Przy losowaniu premję wygrał p. Jerzy Ostrowski we Lwowie.

Kwadraty magiczne.

c	i	s	a
i	z	a	r
s	a	l	a
a	r	a	s

r	u	c	h
u	c	h	o
c	h	o	r
h	o	r	y

Trafnego rozwiązania nikt nie nadesłał.

Korespondencja Redakcji.

P. S. 4 w M. Nie możemy użyć.

P. J. N. w Krakowie. Dziękujemy za przesłaną pracę, którą w jednym z najbliższych numerów umieścimy.

P. Wł. L. we Lwowie. Nadesłaną nam łamigłówkę umieścimy dopiero w pierwszym zeszycie przyszłego rocznika. Ofiarowanej przez pana za rozwiązanie łamigłówki premji nie możemy przyjąć, dziękujemy jednak za przychylność.

Za rozwiązanie zadania konikowego przeznaczają się jako premję: „POWIESCI WIEJSKIE“ Elizy Orzeszkowej.

Za rozwiązanie łamigłówki przeznaczają się jako premję: Adama Nowickiego „OJCZYŻNA“.

Panów Autorów i Wydawców życzących sobie oceny swoich dzieł w „**RUCHU**“ upraszamy o nadesłanie dwóch egzemplarzy.

TREŚĆ: Piekiełko, powieść Michała Wołowskiego. — Król Syjonu, dramat w pięciu aktach Alfreda Nossiga. — Ruch naukowy: Powstanie ziemi i stopniowy rozwój życia organicznego na jej powierzchni, (podług N. S. Shaler'a). — Wspomnienia więźnia (1876—1885) spisał Florjan Bohdanowicz. — Kronika powszechna. — Ruch kobiecy: Kobiety w przysłowiach ludu francuskiego, włoskiego i rosyjskiego (wedle Leonarda Freunda). — Uwagi o robotach ręcznych, przez Justynę Gostyńską. — Panna Aurora, obrazek z życia kreolskiego Karola Baissac. — Kroniczka dla kobiet. — Ruch literacki i artystyczny: O płodności pisarskiej, przez St. Błotnickiego. — Ze stołu redakcyjnego. — Wystawy zjednoczonych towarzystw sztuk pięknych we Lwowie. — Przegląd teatralny. — Salon paryski (ciąg dalszy). — Kronika literacka i artystyczna. — Zagadki. — Rozwiązania. — Korespondencja Redakcji.